



M. J. Dziędek

XIV

GŁOS

VCZNIOWSKI

TREŚĆ NUMERU:

1. Od Redakcji.
2. 1933 — 1938 — Wu-eR 281.
3. List Opiekuna „Głosu”.
4. Do nas i o nas — głosy dawnych współpracowników:
p. prof. Z. Gacińskiej, p. inż. Z. Sochonia i p. M. Piotrowskiego.
5. O przełom duchowy młodzieży — Wu-eR 281.
6. Jubileusz rodzinny — Oskar 282.
7. Mój pierwszy artykuł — Mika 283.
8. Wspomnienia — J. i N. 283.
9. Z włości — Marusz 282.
10. My i narty — M. 283.
11. Mój lot ze spadochronem — G. B. 283.
12. „Głos Uczniowski” w świetle krytyka — Oskar 282.

DZIAŁ LITERACKI:

13. W dniu Jubileuszu — S. Pankowski 281.
14. Do Braci duchem — S. Pankowski 281.
15. Klasówka — J. T. III 282.
16. Słoneczne Koło — Z. S. II-A 281.
17. Rozśpiewały się skrzypce — Mika 283.
18. W dworku ciotki Adelajdy — Oskar 282.
19. Moje odpowiedzi Redakcji — Jot-A. 283 z dopiskami Oskara 282.

Kronika.

Okładkę wykonał M. Głuszek 282. Linoryty w tekście wykonali:
M. Głuszek 282 i J. Baranowski 281.

Druk: „Dziennik Białostocki”.

[1937]

Nr 5.

Białystok, Listopad — Grudzień

Cena 30 gr.
Rok XVI.

N U M E R J U B I L E U S Z O W Y

„Razem, młodzi przyjaciele!

W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele”.

A. Mickiewicz.

Głos Uczniowski

PISMO MŁODZIEŻY

Adres: Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Zygmunta Augusta
w Białymstoku, Świetlica „Samopomocy Uczniowskiej”.

Od redakcji

Pięć lat temu, w styczniu roku 1933, Redakcja „Głosu Uczniowskiego”, wydała numer Jubileuszowy swego pisma, w którym zobrazowała wysiłki swoich poprzedniczek w pracy nad jego wydawaniem w ciągu lat dziesięciu. Był to moment wielce uroczysty, co też z dumą zostało podkreślone. Jednocześnie wyrażona została wtedy nadzieja, że przyszli kierownicy i współpracownicy „Głosu” poprowadzą pismo ku świetnej przyszłości.

I oto znowu spory odcinek pracy — poza nami. Dziś święcimy mniej-szą może pod względem efektu chwilę, bo zamknięcie zaledwie pięcio-lecia pracy, jednak nie mniej doniosłą i radosną, bo przedłuża wydatnie nasze istnienie do liczby lat piętnastu.

W tekście numeru, który oto oddajemy do rąk Waszych, Szanowne Czytelniczki i Szanowni Czytelnicy, znajdziecie obraz osiągnięć w ciągu tych lat pięciu, które „Głos Uczniowski” chlubnie zapisał na swoich kartach. Dla zaznaczenia ważności chwili wydajemy numer w powiększonym formacie i obficie ilustrowany.

I oto znowu Redakcja cieszy się z tego powodu i znowu z dumą i ufnością stwierdza, że z pogodą ducha patrzy w przyszłość swego pisma, bo niezłomnie wierzy w życzliwe Wasze stanowisko względem niego. Wierzy, że w dalszym ciągu będziecie je zasilać Swymi artykułami i wypowiadać się na jego szpaltach.

W tej uroczystej chwili składa ze swej strony „Głosowi Uczniowskiemu” jak najlepsze życzenia długich lat istnienia i najpiękniejszego rozkwitu.

1937 K 844/26

REDAKCJA.

BIBLIOTEKA
NARODOWA
BN

P. 10.328

1933—1938

Leży przede mną stos różnokolorowych zeszytów z napisem „Głos Uczniowski”. Są to numery z ostatnich 5-ciu lat istnienia naszego pisma. Biorę je po kolei do ręki i przeglądam uważnie. Przeglądam nie dlatego, że mam w tej chwili napisać z nich sprawozdanie. Właściwie sam nie wiem dokładnie dlaczego. Czuję tylko, że pociągają mnie one do siebie, że każdy z nich woła ku mnie głosem kolegów, którzy w nim częstą siebie pozostawili, którzy zawarli w nim „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty”. I oto przesuwają się przed oczyma moimi coraz to nowe artykuły i wiersze, podpisywane przez coraz to nowych autorów. Przesuwają się nazwiska redaktorów i współpracowników „Głosu”. Tylko stale i niezmiennie widnieje i rzuca blaski swej mocy hasło filomackie i tylko stale i niezmiennie u dołu na ostatniej stronie czytam imię naszego Opiekuna, imię, które w ciągu 15 długich lat istnienia naszego pisma zespoliło się jakgdyby organicznie z nim.

Przejrzyjmy jednak te dzieła rąk i umysłów kolegów naszych wspólnie. Dzisiaj przecież jesteśmy ich kontynuatorami, dzisiaj nas powołał czas do trudnego, lecz zaszczytnego obowiązku. Dzisiejszy Jubileusz niech się stanie na długiej drodze naszego istnienia drogowskazem, przy którym zatrzymujemy się na chwilę, by rzucić okiem na ostatni odcinek dokonanej pracy, by skonstatować, czy i o ile posunęliśmy się od ostatniego X-letniego jubileuszu na drodze naszego rozwoju, by wreszcie zakreślić plan pracy na najbliższą przyszłość.

Wyrażone w numerze jubileuszowym postulaty Dyrekcji poszczególnych gimnazjów znajdują swą realizację już w następnych numerach „Głosu”, z których przebija dbałość o ich formę zewnętrzną, a więc o liczne i piękne ilustracje, w zakresie zaś treści troska o to, by stały się one prawdziwym zwierciadłem uczniowskiego życia, by ukazały świat zainteresowań uczącej się młodzieży.

Tak więc 2-gi numer z 1933 roku, podpisany nazwiskami kol. W. Lewgowda, jako redaktora, i kol. H. Balińskiej i M. Piotrowskiego, jako wicedaktorów, informuje nas, jak młodzież poszczególnych gimn. obchodziła jubileusz 25-lecia zgonu Stanisława Wyspiańskiego, którego uczczeniu jest zresztą niemal w całości poświęcony. Lecz nie tylko starsi, ale również i najmłodszy nasi czytelnicy prezentują nam na łamach tego numeru swój świat, naturalnie w specjalnym, dość zresztą obszernym „Dziale dla Najmłodszych”.

Z numerem 3-cim następuje zmiana na stanowisku redaktora „Głosu”, którego funkcję obejmuje obecnie kol. Wł. Szrednicki. Okres ten mile upamiętnił się w sercach i umysłach młodzieży, jak również na łamach naszego pisma pierwszym, organizacyjnym zjazdem absolwentów gimn. im. Kr. Zygm. Aug.

Poza tym w postaci kilku ciekawych artykułów znajdujemy wyraz zainteresowań młodzieży sprawami morza i polskiej aeronautyki. Wreszcie obszerny dział literacki, kącik humoru i kronika zamykają numer.

Ostatni, piąty numer, przynosi rozstrzygnięcie konkursu, ogłoszonego przez Redakcję na najlepszą pracę naukową i literacką. Konkurs ten nie wydał pożądanego plonów, jeżeli chodzi o liczbę zgłoszonych artykułów, tym niemniej praca nagrodzona, nosząca tytuł: „Białystok i jego dzieje”, wykonana przez spółkę autorów: Wł. Szrednickiego i Z. Stermińskiego, odznacza się wysoką wartością literacką i naukową.

Na ogół jednak wyczuwa się, że Redakcja borykać się musiała z wielu trudnościami, a przede wszystkim z najgorszą z pośród nich, mianowicie z biernością czytelników.

Rok 1934, a dwunasty istnienia pisma, rozpoczyna się dla „Głosu” pomyślnie. Na konkursie prasy uczniowskiej, zorganizowanym przez „Kuznię Młodych”, otrzymujemy wśród 21 różnych pism drugie miejsce. Z młodzieńczą też wiarą w lepsze jutro „Głosu” podejmuje Redakcja dalszą pracę.



Zespół Redakcji z r. 1932—1933. Siedzą od lewej: R. Krynicka, M. Piotrowski (wicedaktor), H. Balińska (wicedaktorka), Wł. Lewgowd (redaktor), p. prof. Pietrasz (opiekun). Stoją od lewej: A. Kaczorowski (administrat), B. Proppe, S. Klepfertówna, Z. Życka, Wł. Szrednicki i inni.

Obserwując następne numery musimy przyznać, że zapal Redakcji udzielił się również czytelnikom. „Głos” zaroił się od artykułów, podpisywanych co najważniejsza nie tylko dawnymi znanymi nam, ale również wielu nowymi nazwiskami. Teraz właściwie na dobre rozpoczęła się realizacja hasła: „Pokażmy nasz świat”, w specjalnym cyklu pod tym samym tytułem.

Numer czwarty tego rocznika przynosi nie tylko całkowitą zmianę redakcji (której skład brzmi obecnie następująco: redaktor kol. J. Bielakowski, wicedaktorowie kol. M. Lipkówna oraz kol. E. Werpachowski), ale nierównie ważniejszą innowację w dziedzinie administracyjnej „Głosu”. Oto na terenie gimn. im. kr. Zygmunta Augusta każdy uczeń od tego numeru począwszy otrzymywać będzie „Głos Uczniowski” bezpłatnie, jako rekompensatę uprzednio uiszczonych ryczałtów składek. Chwila ta stała się przełomową w życiu naszego pisma. Zwiększył się znacznie nakład wydawnictwa, proporcjonalnie z nim zmniejszyły się trudności finansowe.

W następnych numerach spotykamy coraz więcej ilustracji. Również wydatnie powiększa swą objętość „Dział Literacki”, zasilany artykułami pióra: Hanki Firkowskiej, naszej późniejszej sławy—zdobywczyni II-giej nagrody na konkursie polonistycznym, i całego szeregu młodych talentów, piszących najchętniej pod pseudonimami: „Glori-Band”, „Jacek”, „Szczęśław” i. i.

U progu nowego, 1935 r., staje Redakcja mając poczucie dobrze spełnionego obowiązku, silną wiarę w dalszy pomyślny rozwój „Głosu” oraz prawdopodobnie również dodatnie saldo finansowe.

Składając na łamach 2-go numeru hołd Wielkiemu Marszałkowi, nie przypuszczaliśmy, że w kilka miesięcy później złączymy się znowu we wspólnym hołdzie, ale już u Jego prochów.

12 maja, który bolesnym echem swych żałobnych wspomnień wdarł się głęboko do duszy każdego Polaka, znalazł również swój oddźwięk na łamach żałobnego numeru „Głosu”, przewijając się również w następnych jego numerach nicią głębokiego smutku.

Z 5-tym numerem tego rocznika następują zmiany w redakcji pisma. Funkcję redaktora obejmuje kol. J. Koldrasiński, v. redaktorką jest przedtem jeszcze powołana na to stanowisko kol. D. Lewicka, v. redaktorem kol. M. Kamiński.

Rok 1936 nie obfituje w zmiany i przesunięcia na stanowiskach redakcyjnych. Po ustąpieniu kol. Lewickiej, której miejsce zajęła kol. Niewiarowska, do końca prawie roku skład redakcji nie ulega zmianie. Natomiast w sprawach, dotyczących wydawania pisma, zaszło wiele zmian i to, musimy przyznać, na lepsze.

A przecież tego okresu nie możemy zapisać wśród najpomyślniejszych lat rozwoju „Głosu”.

Spotkaliśmy się i to niejednokrotnie z krytyką, zarzucającą nam, jakobyśmy zakrywali oczy na ciemne strony otaczającego nas życia, albo odmawiającą na zgoła racji bytu.

Przyznać musimy, że boleśnie dotknęły nas te wystąpienia. Wszak daliśmy wszystko z siebie, by podnieść poziom „Głosu”. Wprowadziliśmy mile przez czytelników przyjętą inowację w postaci wywiadów, umieściliśmy cały szereg artykułów z dziedziny tak młodzieży interesującej, jak szybownictwo, byliśmy wyrazieliśmy jej zamiłowań sportowych, łączyliśmy się słowem z każdym przejawem życia zbiorowego młodzieży, że naprawdę trudno się było spodziewać takich głosów krytyki.

Ale myliłby się, kto by sądził, że potrafiły nas one załamać. Nie, nie odebrały nam one nawet odrobiny entuzjazmu. Ludzi, potępiających nasz naturalny pęd młodych do wszystkiego, co piękne, a każących widzieć wszędzie tylko dziury i plamy, raziliśmy „słońcem w oczy”, słońcem, którym sami jesteśmy przepelnieni i które wokół rozsiewać pragniemy.

A tym, którzy powątpiewali o racji naszego bytu, odpowiedział czas. I nie dał na siebie długo czekać. Widzieliśmy, jak pisma, które „miały więcej niż my szans istnienia”, szły powoli, kulały i znikły z powierzchni życia. My istniejemy i rozwijamy się stale.

Nie jesteśmy z tego powodu zarozumiali. Nie, jesteśmy tylko dumni z siebie i ze swej pracy. Dumni jesteśmy, że droga, przez nas obrana, okazała się właściwą, że zwyciężył nasz optymizm.

Skład Redakcji, jaki się ustalił na początku roku 1937 w osobach kol. Wł. Roledera—redaktora, oraz kol. Z. Broszówny oraz kol. M. Głuszka—v. redaktorów, przetrwał do chwili obecnej. Jak dawniej, idziemy zapażrzeni w naczelną naszą ideę filomacką z niej czerpiąc siłę i energię. Nie staliśmy ani chwili na miejscu. Dbając o formę zewnętrzną pisma obok ilustracji fotograficznych wprowadziliśmy linoryty. Zrealizowaliśmy dawno już wysuwany postulat nadania „Głosowi” regionalnego charakteru.

Przede wszystkim jednak staraliśmy się, by był on on możliwie dokładnym zwierciadłem życia szkolnego, by dając żywy obraz naszych radości i smutków spełnił podstawowe swoje zadanie, lecz przy tym nie ograniczał się wyłącznie do uczniowskiego środowiska i łączył się z każdym przejawem życia społeczeństwa.

Oddając sprawiedliwość naszym Drogim Czytelniczkom i Czytelnikom musimy przyznać, że spotykaliśmy się w większości wypadków ze zrozumieniem i żywą współpracą z ich strony.

Teke redakcyjną wypełniały dziesiątki artykułów piora naszych stałych i coraz to nowych autorów.

Wymienić na tym miejscu musimy nazwisko kol. Pankowskiego—„Jowisza” naszego literackiego Olimpu, i cały szereg nie mniej potężnych „asów”, posługujących się najwymyślniejszymi pseudonimami, jak: „Ja”, „Oskar”, „Mariusz”, no i jedno „bóstwo podziemne”, a raczej jego połowa. bo—„Pół-Diabeł”.



Zespół Redakcji z r. 1933—1934. Siedzą od lewej: M. Piotrowski (wicedredaktor), Wł. Szrednicki (redaktor), M. Lipkówna (wicedredaktorka), p. prof. Pietrasz (opiekun). Stoją od lewej: St. Łapiński, A. Mokrzycka, M. Kamiński, W. Kortówna, I. Sławiński, I. Bielakowski, A. Kaczorowski (administrator).

Osobno należy wymienić i podkreślić fakt, że na łamach „Głosu” znalazły się przemówienia najwyższych Władz szkolnych, a więc Pana Ministra W. R. i O. P. z dnia 4. IX. 1937 r. i Pana Wiceministra W. R. i O. P. z dnia 5. IX. 1936 r., wskutek czego zostało udostępnione Ich słowo ogółowi młodzieży i ułatwiony wpływ Ich na jej dusze.

Zamilkły natomiast w sposób zgoła nieuzasadniony, choć częściowo zrozumiały, głosy z dziedziny szybownictwa, tak w swoim czasie zajmujące i mile witane. Słynne RWD. białostockie (początkowe litery nazwisk trójki kolegów z gimn. im. kr. Zygmunta Augusta) poszło w świat, ćwiczy się na razie, o ile wiemy, na politechnikach i czeka na swych następców. Nie wątpimy, że następcy się znajdą, że już są, że tylko chwilowo nie dają o sobie znaku życia, że znowu łamy „Głosu Uczniowskiego” zostaną upiękzone slicznymi zdjęciami z lotu „Czajek”. „Wron”, „Komarów” oraz pełnymi emocjami opisami lotów młodych adeptów awiatyki.

Pracują z nami dawni, przybywają i nowi współpracownicy, młode talenty, młode pióra. Wkrótce wypadnie nam zupełnie odejść od wspólnego warsztatu pracy, przy którym lat kilka spędziliśmy tak mile w koleżeńskim gronie.

Przyjdą nowi ludzie, nowe nazwiska i nowe pseudonimy.

To zaś, co myśmy stworzyli, stanie się jednym z ogniw olbrzymiego łańcucha, który połączy przeszłość z przyszłością.

Nie wiemy, kim będą ci, którzy po nas ster pisma obejmą, ani, jak go pokierują.

Wiemy tylko jedno na pewno, że jeśli pójdą drogą, zakreśloną przez naczelną nasze hasło, jeśli z niego będą czerpać siły twórcze, to pójdą drogą właściwą, drogą, która „Głos Uczniowski” doprowadzi do wspaniałego rozkwitu, czego im i sobie z głębi serca życzymy.

Kochany Redaktorze, Drodzy Czytelnicy!

W uroczystej dla Was chwili zabieram głos i dla tej oto chwili robię wyjątek z przyjętego i przestrzegane przeze mnie zwyczaju. Prawie od początków powstania Waszego pisma jestem Jego niezmiennym opiekunem, współredaktorem i współpracownikiem, zawsze jednak wolałem cichą pracę, bez rozgłosu i reklamy, i nigdy nie korzystałem z okazji, aby od siebie lub o sobie coś powiedzieć.

Dziś odzywam się publicznie i zwracam się szczególnie do tych, którzy serdecznie i szczerze cieszą się z niezwykłego zdarzenia, jakim jest fakt piętnastolecia istnienia „Głosu Uczniowskiego”.

Przeszło przede mną w długim szeregu dużo Jego Redaktorów, Redaktorek, Współpracowniczek i Współpracowników i o Każdej i o Każdym z nich pozostało dobre wspomnienie, czasami bardzo dobre i pełne podziwu, jako o tych entuzjastach słowa i czynu, którzy działali w oddaniu się i z ofiarnością, borykając się nieraz z nadzwyczajnymi trudnościami pracy. Jakże często słyszeliśmy surową prawdę, że całe nasze przedsięwzięcie jest tak bardzo nikłe w skutkach, że ani treścią, ani wyrazem, ani postawą, ani kierunkiem nie odpowiadamy najskromniejszym wymaganiom pracy społecznej, a tym bardziej — czynu literackiego. W takich chwilach dogłębnie zastanawiałem się, czy naprawdę warte jest wysiłku dzieło, które do życia powołał bez wątplenia zapał, lecz które na śmierć skazuje brak odpowiednich sił i podstawowych warunków istnienia, atmosfera ozięblej krytyki lub wprost wyraźnej niechęci.

I w takich chwilach przełomowych samo życie rozstrzygało wątpliwości.

Ile bowiem razy zamilkł na jakiś czas „Głos Uczniowski”, ilekroć opóźnił swoje ukazanie się na światło dzienne, za każdym razem znalazła się garstka Jego ambitnych zwolenników, która swą energią pobudzała i mnie i innych do podjęcia dalszej pracy w Jego wydawaniu.

Samo życie, wola Wasza, wola młodzieży decydowała i decyduje o istnieniu „Głosu”.

Fakt ten jest tak wymowny i tak decydujący, że raz na zawsze przesądza o dalszych losach pisma.

Mnie osobiście cieszy niezmiernie fakt, że „Głos Uczniowski” tak wyraźnie i konsekwentnie rozwinął się pod każdym względem, że jest już dziś pismem stałym, od przeszło czterech lat (ściślej mówiąc od 1.IX-1934 r.) ukazującym się w odstępach dwumiesięcznych regularnie.

A były czasy groźne dla jego istnienia.

Pomijam te, których źródło stanowiły kłopoty finansowe. Udało się je przezwyciężyć dzięki życzliwości i pomocy mojej najbliższej Władzy przełożonej.

Niechybna zdawało się groza zawisła nad „Głosem”, gdy w drugiej połowie roku 1933 p. Aleksander Czyżewski, naczelny redaktor warszawskiego pisma młodzieży, zapowiadającego się jako pismo całej młodzieży polskiej, w artykule p. t. „Naczelny mówi” rozesłanej do wszystkich szkół ulotki obwieścił następującą decyzję: „Do trzeciego



Zespół Redakcji z r. 1934—1935. Siedzą od lewej: D. Lewicka, M. Kamiński (wicedredaktor), J. Bielakowski (redaktor), M. Lipkówna (wicedredaktorka), p. prof. Pietrasz (opiekun). Stoją od lewej: A. Jakacki, E. Wawiórko, W. Kortówna, H. Niewiarowska, A. Kaczorowski (administrator), E. Niewińska, J. Kołdrasiński, St. Pankowski.

typu zaliczam szkoły, w których młodzież nie będzie wydawać gazetek (ściennych — przyp. mój), ponieważ redaguje własne pismo. ... Radziłbym jednak takie pisma likwidować, choćby dlatego, że to oszczędniej, a skutek taki sam". Ukazało się zatem widmo likwidacji i zajrzało w oczy zdezorientowanej na razie Redakcji „Głosu”. Nadeszły rzeczywiście ciężkie dni dla pisma, o czym nie bardzo kto wiedział.

I znowu dzięki zdecydowanej postawie Jego zwolenników, dzięki ich niezmiennej woli przetrwał „Głos” ciężkie dla siebie próby i wyszedł z nich zwycięsko. A wszak jednego tylko chciał: istnieć i zachować swoją nazwę!

Wspominam o tych właśnie rzeczach w dniu Jubileuszu dlatego, że wykazały one niezmiernie cenny i nader sympatyczny rys młodzieży tutejszej względem swojego pisma: przywiązanie i miłość.

Chciałbym i życzyłbym, aby te Jej cechy towarzyszyły i nadal „Głosowi” w Jego istnieniu. Niech to istnienie będzie jak najdłuższe i jak najpiękniejsze!

Życząc tedy „Głosowi Uczniowskiemu” wszystkiego najlepszego sądzę, że przyjdą piękne dni dla Jego rozwoju, ale też i zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że ta świetna dlań przyszłość nastąpi z chwilą, gdy ster Jego nawy uchwycą młode i silne ręce, którym z uczuciem najwyższej troski i świadomej odpowiedzialności przekażę kierownictwo, dotąd w jak najlepszym zrozumieniu i z poczuciem spełnionego obowiązku przeze mnie piastowane.

Czesław Pietrasz
opiekun „Głosu Uczniowskiego”.

Białystok, w styczniu 1938 r.

Do nas i o nas.

W związku z Jubileuszem otrzymaliśmy od Przyjaciół naszego pisma życzenia i opinie. Choć są to nieliczne głosy wobec wielkiej ilości osób, które w ten czy inny sposób miały kiedykolwiek kontakt z „Głosem”, są one jednak dla nas tym cenniejsze i droższe, że świadczą o prawdziwie serdecznej więzi, jaka Je z nami łączy. Redakcja „Głosu Uczniowskiego” składa Im na tym miejscu swoje najserdeczniejsze podziękowanie za miłą pamięć.

REDAKCJA.

Specjalni wysłannicy naszego pisma przeprowadzili wywiad z dawnymi naszymi Współpracowniczkami i Współpracownikami. Poniżej dzielimy się z Czytelnikami łaskawie udzielonymi nam odpowiedziami.

Pani Profesor Zofia Gacińska, b. współpracowniczka „Gł. Uczn.” w dziale naukowym, udzieliła następującego wywiadu:

Jakie wspomnienia łączą Panią z „Głosem Uczniowskim”?

Choć, będąc uczenicą, nie brałam żywego udziału ani w redagowaniu „Głosu Uczniowskiego”, ani w zasilaniu tego piśmka artykułami, jednak dobrze pamiętam, że każdy nowy numer witałam z przyjemnością i zaciekawieniem, jak zresztą wszystkie moje koleżanki i wszyscy koledzy. Muszę bowiem zaznaczyć, że od chwili ukazania się „Głosu” wzbudził on w całej ówczesnej młodzieży żywe zainteresowanie i poparcie.

Jaki jest obecny stosunek Pani do naszego pisma?

Do dzisiejszego dnia stale czytam „Głos Uczniowski”. Kiedy biorę do ręki świeży jego numer, zawsze doznaję jednakowego wrażenia, że to jest jakieś bardzo bliskie mi piśmko, że jednocześnie staje się ono dla mnie łącznikiem pomiędzy dniami dzisiejszym a latami, spędzonymi w szkole.

Co sądzi Pani o racji istnienia „Głosu Uczniowskiego”?

Według mego zdania „Głos Uczniowski”, piśmko prowadzone przez doświadczonego i cenionego profesora, Pana Pietrasza, zasługuje na uznanie. Daje ono możliwość młodzieży próbowania swych sił i możliwości literackich, odzwierciedla ważniejsze wypadki z życia państwowego i szkoły. Tym pomyślniej będzie się nadal rozwijać, im szczerzej sama młodzież będzie się wypowiadać na łamach swego piśmka, posiadającego już pewną tradycję.

Zofia Gacińska.

Od Pana Inżyniera Zygmunta Sochonia, za czasów szkolnych chlubnie znanego i cenionego poety „Głosu Uczniowskiego”, występującego pod pseudonimem „Wejmuta,” otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny Panie Redaktorze!

Ze słowami podziękowań za tak długą pamięć o mnie wraz z życzeniami jak najbardziej pomyślnego rozwoju młodej myśli, której „Głos Uczniowski” jest wyrazicielem—przesyłam pod adresem tych wszystkich, którzy biorą żywy udział w życiu tej młodej myśli—wyrazy szczerzej i serdeczniej zachęty: niech „mobilizują” do niej nie tylko młodzież trzech gimnazjów—ale i szerszy ogół społeczeństwa.



Zespół Redakcji z r. 1937. Siedzą od lewej: M. Głuszek (wicedaktor), Wł. Roleder (redaktor), Z. Broszówna (wicedaktorka), p. prof. Pietrasz (opiekun). Stoją od lewej: W. Hołownia, K. Broniecki (administrator), Z. Antonowiczówna, H. Natruniewiczówna, L. Lewitt, I. Dragoniewiczówna.

Czytuję „Głos Uczniowski”—i porównując go z tym „naszym” sprzed 8—10 lat—dochodzę do wniosku, że ten dzisiejszy jest tak samo „młody”, ale za to ma szerszą skalę zainteresowań. Widać z niego, że młodzież czuje potrzebę wypowiedziania się—a wyrazem tego są różnorodne tematy omawiane w tym piśmie.

Należałem kiedyś do grona tych, którzy wypowiadali się w „Głosie”. Pisałem wiersze. Dlaczego—wiersze? Czulem wewnętrzną potrzebę wyrażania swoich myśli, uczuć, wrażeń—w formie poezji. Niektóre z tych wierszy zostały umieszczone w „Głosie Uczniowskim” w latach 1927—1929.

Dziwnym się to wydaje. Gdy patrzę na te wiersze z oddalenia—wydaje mi się, że to nie moje, zbyt dalekie ode mnie—jak gdyby „wszystkie drogi za mną, wszystkie dni pielgrzyma wiatr zawiął, w pustyni ślady, szarym piaskiem”.

Skończyłem gimnazjum i stojąc u progu nowego życia zdałem sobie sprawę, że nie jestem jednak na właściwej i odpowiedniej dla mnie drodze—i (ku zdziwieniu moich b. przełożonych i kolegów, którzy rokowali mi wielkie nadzieje w dziedzinie poezji lirycznej)—rozpocząłem studia politechniczne.

I dobrze zrobiłem. Przestałem pisać poezje—na to nie było czasu w wirze zajęć. Powoli psychika nastawiała się na pojmowanie i szukanie piękna nie w formie układnych wierszy—ale w formie realnych kształtów projektowanych budowli, w których kolumny cyfr całkowicie zastąpiły mi strofki poezji—i dziś po kilku latach pracy

zawodowej ujmowanie zagadnień technicznych w formę matematyczną, rysunkową i kalkulacyjną stało się tą wewnętrzną potrzebą wypowiedzenia swoich myśli—i w tej pracy, poświęconej budowie naszej Wielkiej Ojczyzny, jest dużo piękna—piękna całkowicie realnego.

Żegnam i jeszcze raz życzę owocnej pracy w realizowaniu młodej myśli!

Weimuta — inż. Sochoń Zygmunt.

Białystok 21.XII.37.

Od p. Mieczysława Piotrowskiego, byłego bardzo czynnego współpracownika i współredaktora „Głosu Uczniowskiego”, a obecnie artysty Teatru Objazdowego w Grodnie, otrzymaliśmy następujące cenne i sympatyczne wynurzenia. Część wywiadu, poświęconego obecnej Jego pracy scenicznej, umieścimy w kolejnym numerze „Głosu Uczniowskiego”.

Jakie wspomnienia wiążą Pana z „Głosem Uczn.” z czasów pobytu Pana w szkole?

Chwileczkę! Proponuję zmianą formy „pan” na „kolego”.

Jeszcze tak niedawno stykaliśmy się w pracy organizacji szkolnych, że przyjemniej i bardziej bezpośrednio będziemy mogli pogwarzyć na stopie koleżeńskiej. Wracam do pytania Kolegi:

„Pamiętam moje pierwsze zebranie Redakcji. Była szara, pochmurna niedziela. Tam za oknem któreś z klas wisiał ciężki, bezbarwny dzień. Tu w ławkach rozgorzałe głowy rzucały masę śmiałych projektów. Układaliśmy program pracy.

Byłem jednym z tych, którym zdawało się, iż od nas „Głos” rozpocznie nową epokę. Poruszymy wszystkich. Artykuły sypać się będą, jak z rogu obfitości. Kolorystyka wzrośnie w trójnasób. Już widziałem zwiększony i bogato ilustrowany egzemplarz pisma. Tłumy nabywców na korytarzach szkolnych rozchwytyują ostatni numer...

I gdy zetknęliśmy się bliżej z pracą nad tworzeniem numeru, przekonaliśmy się, że realność, to nie błyskotliwy reportaż filmowy. To żmudna praca z każdym krokiem.

A jednak z przyjemnością przypominam to pierwsze zebranie redakcyjne.

Czy utrzymuje Kolega w dalszym ciągu kontakt z naszym pismem?...

Praca w teatrze tak dalece mnie absorbuje, iż z konieczności oddaliłem się od wielu spraw i zagadnień z życia szkolnego. Jedynie krótka rozmowa z przygodnie spotkanym jednym ze znajomych kolegów jest nikłym kontaktem z Waszym pismem.

Co mam w imieniu Kolegi zakomunikować naszym Czytelnikom?

Przede wszystkim proszę złożyć życzenia p. prof. Pietraszowi i całemu zespołowi Redakcyjnemu jak najpomysłniejszej dalszej pracy i rozwoju pisma. Co do Czytelników, to mam jedną prośbę: by napisali mi o tym, co myślą o moich rolach z poprzedniego i bieżącego sezonu. Szczerze i otwarcie. Będą to dla mnie niezwykle cenne recenzje, za które już z góry dziękuję serdecznie. Jeszcze jedno.

Niedługo wszyscy staną wobec konieczności wyboru zawodu.

Chcę zapewnić, iż nie żałuję wybrawszy to, do czego czułem zamiłowanie, nie licząc zupełnie na tak zwaną popłatność.

M. Piotrowski.

O przełom duchowy młodzieży.



Zdajemy sobie doskonale sprawę z roli, jaką w życiu każdego społeczeństwa odgrywa młoda jego generacja. Młodzież była, jest i zawsze pozostanie dźwignią przyszłości każdego narodu, to zaś, jak ona zostanie wychowana i jakimi zasadami przepojona wyjdzie z murów szkolnych, zadecyduje w przyszłości o losach jej Ojczyzny.

Dzisiaj, gdy Polska wchodzi na nowe tory swego rozwoju, w pierwszym szeregu walczących o jej wielkość i potęgę znaleźć się musi również młodzież, ale młodzież—świadoma swych celów i pewnym krokiem zmierzająca do ich realizacji. Rzut oka na mapę Europy wystarczy, aby skostatować, że Ojczyzna nasza znajduje się w sytuacji naprawdę poważnej. Otaczają nas od wschodu i zachodu dwa potężne bloki państwowe, przedstawiające niezaprzeczenie olbrzymią siłą uderzenia, mianowicie: Rosja bolszewicka z jednej, a Niemcy hitlerowskie z drugiej strony. Między tymi potęgami nie ma miejsca na państwo słabe. Tutaj muszą stanąć zręby Wielkiej i Potężnej Polski. Praca to niewątpliwie wielka i trudna, ale myliłby się bardzo ten, kto by sądził, że jest ponad nasze siły. Silni jesteśmy i podaliśmy jej.

Musimy tylko zerwać z dwiema ugruntowanymi głęboko niestety wśród nas wadami, z wadami, które przerodziły się w chorobę narodową, a mianowicie: z biernością i z kompleksem niższości.

Zniknąć musi typ człowieka, którego ostatecznym celem w życiu jest otrzymanie dokumentu maturalnego, a później spokojnej posadki. Są to jednostki mało wartościowe, a raczej należałoby powiedzieć bezwartościowe. Dziś na sztandarze naszego życia codziennego i codziennej pracy wypisać należy słowa, które muszą być dewizą każdego obywatela, słowa hasła podciągnięcia Polski wzwyż i wydzwignięcia jej z prymitywu, w którym niestety na wielu odcinkach swego życia jeszcze tkwi. Szara, codzienna praca nie może zatrzeć wielkiego słowa „Polska”. To słowo musi się stać dla nas zawołaniem, które doda nam sił i entuzjazzmu podczas pracy nad budową gmachu naszej wielkości.

Potężny może być jedynie ten naród, który nie ma w swych szeregach jednostek biernych, brodzących po płyciźnie codziennego życia, niezdolnych wyjść poza obręb swego podwórka.

Na każdy szary dzień niech dźwięczą w naszych uszach słowa: „Polska—to wielka rzecz!” i niech mnożą naszą energię twórczą, niech budzą uspięne w duszy każdego Polaka skarby twórczego idealizmu.

Druga nasza bolączka, to kompleks niższości, cecha naprawdę niegodna wielkiego narodu. Z powodu byle głupstwa mówi się w Polsce i mówi się z niebyle jaką satysfakcją, że... to jest skandal, takie rzeczy dopuszczalne są tylko w Polsce i że w ogóle...! Rzecz szczególna. Polacy najchętniej cytują zdania ujemnie o nas mówiące, a w historii wyszukują poniżających momentów. Wtedy rozpoczyna się dyskusja, prowadzona bez oględnego doboru argumentów: mówi się wszystko, co w danej chwili przyjdzie na myśl.

W ten sposób twórcze siły narodu rozpraszają się na wzajemne zwalczanie się, na poniżanie narodowej godności. A przecież dziś zbyt wielkie stoją przed nami zadania, abyśmy mogli tracić swe siły na rzeczy nieistotne.

Tak, jak największą zbrodnią wobec narodu jest zmarnowanie energii po szczególnych jednostek, które zostają bezczynne na uboczu, tak samo wielką zbrodnią jest rozpraszanie sił na terenie wewnętrznych waśni.

A przecież, jeśli kto, to właśnie my, Polacy, mamy z czego być dumni. I tę dumę narodową świadomie nam pielęgnować należy. Bo tylko dumny naród, a nie naród, chory na kompleks niższości, może budować rzeczy wielkie.

Sięgajmy więc do historii, ale nie po to, by wmawiać w siebie tę, niczym nieuzasadnioną niższość wobec innych narodów, nie po to, by się klócić i ciskać na siebie kalumnie, lecz po to, by czerpać przykłady naszej chwały dla własnego postępowania.

O, tych przykładów nam na pewno nie zbraknie! Bo przecież w historii naszej mamy fakty, na których określenie cudzoziemcy nie znajdują innego wyrazu, jak cud. I my takie fakty znamy, znamy je doskonale.

Pamiętajmy o pomnikach naszej świetności. Od szczerbca Chrobrego począwszy poprzez pełne świetności panowanie Piastów i Jagiellonów, poprzez Samosierę i czyn orężny legionów Marszałka Piłsudskiego snuje się myśl nasza, a piersi rozpięta narodowa duma.

Spuściznę tej świetności na swoje barki dziś przyjąć musimy i dźwigać ją z godnością.

Twórczy romantyzm naszych przodków, którzy jak brygada szaleńców poszli w bój o wolną Polskę, niech odżyje w nas dzisiaj, gdy czekają nas wielkie zadania, gdy Polska sił naszych potrzebuje nie mniej, niż ich potrzebowała wtedy.

U progu tych wielkich wypadków, u progu doniosłych faktów dziejowych stanąć musimy odrodzeni duchowo, stanąć musimy wyleczeni z narodowych naszych chorób: bierności, poczucia niższości i zamilowania do waśni. Musi odbyć się w nas głęboka rewolucja psychiczna, musi się dokonać gruntowny przełom duchowy, z którego wyjdziemy mocni i zdrowi, by rozniecić jutrzeńkę Wielkiej i Potężnej Polski.

Wstrząs ten musi się skryształizować w jedno treściwe hasło:

„Miłość Ojczyzny—to nasz najwyższy dyktator!”

Wu-eR. 281.

Jubileusz rodzinny.



Stół kwiatami ozdobny. Szynek olbrzymie półmiski. Świńskich nóżek pełne talerze. Dwa pieczone karpie, jak woły. Szprotek pudełka obfite. Kielbasy. A pośrodku, jak strze-liste maszty, butelek rzędy. Z zielonymi gałązkami u szyjek. I wielkimi kokardami. U końca stołu z wieńcem na gładkiej łysinie, w ręce kielich trzymając wysmukły, majestatem bijący stoi—Jubilat. Do niego uroczysty

brodacz we fraku przydługim, z piórem gęsim za uchem przemawia w natchnieniu.

— „Mistrzu kochany! 25 lat, niech skonom! A pamiętasz, jakżeśmy przed laty po świecie się razem włóczyli. Jakżeśmy na strychu zimnym herbatę pili z kałamarcha? Słońcem osłodzoną. W piecu wierszami palili? — Niech żyje Jubilat!

Brawo! Brawo! Ręce do oklasków składają się same. Wiwat!

To jubileusz poety. Wspaniały, huczny. W kwiatkach, w radości i płaczu... ze wzruszenia!

Każdy człowiek obchodzi swój jubileusz. Poeta, gdy mu po raz setny odeślą wiersze z redakcji z miłym dopiskiem, że jest wariatem, nie zaś natchnionym geniuszem. Szary człowiek, gdy doń zawita po raz dziesiąty wierzyciel. Aktor, przez publiczność srogą notorycznie wygwizdywany. No i sztubak, gdy nań dumna pensjonarka pięć razy nie spojrzy.

To są jubileusze smutne. Łzami oblane. Duszę krwawiące. Jak sonet młodzieńczy ponure. O współczucie wołające. O pomoc. Ale są i inne. Oto wódz szóstą wygrywa batalię. Oto malarz czwarty raz szczęśliwie pozbywa się właściciela domu, który przyszedł po komorne od X czasu nie płacone. Oto koleżanka otrzymuje trzeci wiersz natchniony na temat miłości. To są jubileusze wesole.

Wśród nich zdaniem speców — istnieją jeszcze skromne i głośnie. Te pierwsze są o wiele miłsze.

Czei się taki jubileusz pracą, wykazaniem tego, nad czym się wiele lat pracowało. Robi się rachunek sumienia. Otwiera się duszę szeroko. Omawia szczęśliwie przebyte niebezpieczeństwa. Deklaruje się serce.

Taki właśnie jest nasz cichy jubileusz.

Jesteśmy, proszę Was, rodziną. Jedną wielką uczniowską rodziną. Grzeczną, mniemam, i miłą. Czasem tylko znamy zwady. Pokłócimy się na tydzień. Popłotkujemy o kimś, lub, co gorzej, przeżywamy miłość. Piszemy wtedy wiersze i listy. Chodzimy pochmurni. Płaczymy w ukryciu. Bijemy głową o ścianę i gryziemy szaleńczo ołówki. Ale mija i to. Horyzont się wypogadza. Zaświeci słońce. I znów jesteśmy zżyci, weseli i dumni w swojej wielkiej rodzinie.

A dziś proszę Was, obchodzimy Rodzinny Jubileusz, Skromny, szalenie serdeczny i kochany. Piętnastolecie istnienia naszego pisma.

Nie zbierzemy się wcale gdzieś w określonym miejscu. Nie ma akademii uroczystej. Słów rzucanych na wiatr. Szynek talerzy i ciast kosztów. Ale w swoim ciepłym pokoju do światła lampy czule przytuleni będziemy wszyscy czytać jubileuszowy numer „Głosu Uczniowskiego”. Okazały i piękny. I będzie to uczta nasza rodzinna.

Przemówią do naszych serc minione lata. Odezwać się może do nas: Żywilla, Drogoślów, Wejmuta i inni, gorącym potokiem słów, pozdrowieniem dalekim, wspomnieniem wspólnie przeżytych chwil. I będzie nam tak dobrze, miło, kiedy ci wszyscy, którzy też do nas kiedyś należeli, podzielą się z nami myślą swoją, uczuciem i słowem ludzi, którzy już są dziś czymś na świecie. Nie tylko bierną częścią w mechanizmie życia, ale jednostą, niosącą pożytek wszystkiemu.

Tu pióro moje pękać zaczyna, daje znak, że nie o tym piszę, o czym należy. Miała to bowiem być rozprawa filozoficzno-humorystyczna o jubileuszach, ich rodzajach i sposobach obchodzenia, a tu tymczasem dusza moja wrażliwa rozczuła się i rozrzewnia zgoła innymi pięknymi rzeczami.

Bo, proszę Was, ujrzeć numer pisma młodzieży, które wychodzi przez tak długi okres czasu, to nie byle co. Ileż bowiem (znów mi pióro dygoce, jak stary samochód) w tym czasie powstawało pism, jakie miały wspaniałe warunki istnienia, współpracowników jakich! I co? Kłapa. Nikt już o nich nie pamięta. Wspomnienie tylko. Myśmy przetrwali. Jesteśmy z tego dumni. Pokazaliśmy, że coś umieć robić. A to jest wiele. Więcej, niż wszystko.

Nie będę tu wygłaszał (pióro mi ciszą potakuje) oracji jubileuszowej. Nie będę wznosił toastów. I gwizdał z uciechy (a potrafię, tak na palcach!). Lecz krótko całym sercem złożę hołd „Żywilli”, wielkiej naszej poetce, zadumanemu „Drogoślówowi”, miłemu poecie—tęsknemu „Wejmucie”, „Glori Band”, cudne nowe pi-

szącej o biednych, śliczniutkich panienkach, o grajkach wędrownych, wróbelkach i pszenicy ziarnach, „Jackowi”, co po wielkich pływał jeziorach i marzył o morzu wspaniałym, „Szczęślawowi”, żalącemu się w wierszach wiecznie, i innym poetom miłym, pisarzom sympatycznym, kronikarzom sławnym i redaktorom szczęśliwym. I tym wszystkim sierotkom pokrzywdzonym, których prace, łzami oblewane, krwią serdeczną pisane, znalazły się w koszach naszej redakcji.

A teraz mi szczerze przyznajcie, czy nie jest miło z tym pięknym numerem do lampy tulić się czule i czytać jego piękne karty. Robić wspólny rachunek sumienia. Czy nie jest kochańszy ten cichy jubileusz rodzinny od innych głośnych i pełnych błazeństw. O tak! Przyznacie mi rację, prawda? — że tak!

Moje pióro rozczuła się mocno i atrament niezgrabnie na białym się rozlewa papierze. Tworzą się czarne esy floresy. Duże i niebezpieczne. Przygląda się w nich promień księżycy i klnie swoją dolę nędzną. Bo wszak „Gł. Uczn.” poeci świetni przywołują go ciągle ponuro, na ziemię, a on, biedaczek, niewolnik nieznanego przestrzeni, do nich przyplynać zanic nie może.

Na górze, nad moim pokojem, słyszę głosy straszne i śpiewy złowieszcze. Jakby horda pędziła przez step szeroki i długi. To sąsiad mój, p. Feluś Dwójka, też jubileusz obchodzi ochoczo. Z wiwatami, mowami i płaczem. P. Feluś Dwójka jakąś miłą rocznicę obchodzi.

Pióro moje całkiem się już kruszy. Atrament plamami litery zalewa wątlejące. Wreszcie pióro ustaje. Roje snów i marzeń utulają me skronie.

Oskar — 282.

Mój pierwszy artykuł.



— Raz kozie śmierć! — powiedziałam sobie, kiedy postanowiłam wreszcie napisać do „Głosu Uczniowskiego”.

Przejęta ważnością swego zadania, inaczej już spoglądałam na koleżanki. Jakiś z góry...

Przecież miałam być autorką. Mój artykuł miał być drukowany!

Zwierzyłam się z tym swojej koleżance od serca.

— A skąd wiesz, że artykuł twój będzie wydrukowany?! Może nie przyjmą? — zadała mi podstępne pytanie.

...Ee... (zaskoczona byłam tą możliwością)... co tu gadać — na pewno przyjmą; dlaczego miałiby odrzucić?

Uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

Jej sceptycyzm i mnie się udzielił. — A jeśli rzeczywiście nie?...

Zasiadłam przy biurku, umoczyłam pióro i myślę. W głowie kłębią się naj-

różniejsze projekty, projekciki, możliwości i chęci.

— Możeby tak o wiosnie?...

...Nadeszła wiosna, maj znów się zieleni,
Nagie korony smutnych ongiś drzew...

— Nie, to za bardzo oklepane.

A może coś na temat zbliżających się wakacji?

W głowie czuję chaos, puls głośno uderza i ani rusz nie wiem, od czego zacząć. Dusza moja napęla się marzeniami, coraz więcej powstaje tematów do opracowania.

I jakich tematów!...

Na horyzoncie moich myśli przejaśnia się.

Triumfuję! — Mam temat. Temat najlepszy pod słońcem.

— „W Wielką Sobotę”. — Już wiem, co pisać.

Pióro posuwa się szybko, coraz szybciej po papierze, czyste kartki zapełniają się literami. Zapisuję trzy stronicie.

Skończyłam. Z dumą i westchnieniem postawiłam kropkę.

Z dumą też przeczytałam następnie koleżance twój własnej wyobraźni, własnych zdolności.

Koleżanka (ta od serca) zapewniła gorąco, że „taki” artykuł na pewno przyjmą!

A ja na to skromnie:

— Ej, chyba nie...

A po chwili:

— Ale właściwie dlaczego by nie...?

I przyjęli!!

Mika 283.

W s p o m n i e n i a .

Gdzieś na wyżynach niewidoczne nikomu wytryska źródło, „czyste jak łza, boże jak modlitwa”, nieśmiertelne, jak myśl geniusza.

Płyną coraz to nowe wody szumiąc wśród złomów skalnych. Potok wzmaga się, omija zakręty, rośnie, potężnieje i płynie nieustannie dalej i dalej.

Tak płynie ród harcerski w korowodzie coraz to nowych zastępów. Wzrasta, olbrzymieje, przekazuje swe idee z pokolenia na pokolenie. Taki pochód gromadny zostawia po sobie ślad i oddźwięk w sercach potomnych.

Głęboko wśród dokumentów Żeńskiej Komendy Chorągwi leżą poźółkle ze starości kroniki.

Przeglądam — o dziwo!

— „Kronika I-ej drużyny Harcererek w Białymstoku” Z martwych na pozór kartek wylaniają się sylwety...

— Co to? — ludzie?

...Rok 1917. Okupacja niemiecka. W ścisłym kręgu siedzi 16 dziewcząt. Silnie trzymają się za ręce. Żywo nad czymś radzą, coś postanawiają. To pierwsze harcerki (w późniejszym woj. białostockim) z kierowniczką p. Wandą Judejkówną, nauczycielką naszego gimn., prowadzą swą pracę konspiracyjnie. Powołują one do życia swój sztandar. Na czerwonym jedwabiu — Biały Orzeł i litery I. B. H. D. Ż...

Nie ma miejsca na lilijkę, bo głównym ich celem jest Polska. On je prowadził „przez trudy i znoje” i przez pomyłkę znalazł się z harcerzami pod Lwowem na wojnie.

...Rok 1918.

„Cios bolesny ugodził w nas.

Panią Wandę posadzono o pracę na szkodę Niemców. Wywożą ją do Prus. Nie jesteśmy zbyt mocne, by pracować same. Rozchodzimy się. Jednak czarodziej-

ska moc skupia nas znowu. Na czele gromadki staje uczenica 7 kl. Halina Golańska”.

W roku 1919 tworzy się w Białymstoku inspektorat harcerski, kierujący drużynami, których już jest kilka. Na czele stoi ks. prof. St. Marcinkowski.

„Te kilka lat pracy miały charakter niepodległościowy. Tematem zbiórek było rozpatrywanie zagadnień społecznych i politycznych”.

Suną często zmieniające się postaci drużynowych. Zasepione, poważne i bardziej wzniosłe od tamtych z dni wojny.

W latach od 1922—34 drużynową jest Druhna A. Sandomierska, obecna Komendantka Chorągwi.

W 1923 r. wędrując z garstką harcerzek po Polsce na wystawie harcerskiej we Lwowie znajduje sztandar I-ej Drużyny Harcerzek białostockich. Cenną zdobycz przywozi i przechowuje u siebie.

„W latach 1924—27 drużynowe zmieniają się często i to wpływa ujemnie na poziom drużyny”.

Cichutko odwracają się kartki kroniki. Ale... puste. brak danych. A może są zbyt głęboko ukryte, by nie zdradzić tajemnic.

— Zamknięto kronikę—niech czeka.

I doczekała się.

Jesienią 1934 r. druhna Irena Krajewska organizuje drużynę na nowo. Powstaje nowa gromada dziewcząt, uzbrojonych w siłę i entuzjazm do pracy, wpatrzonych w jasny, wspólny cel, dążących do osiągnięcia ideałów harcerskich.

W roku 1935 drużynową zostaje Irena Szatunow. W wigilię rocznicy niepodległości odbywa się pierwsze przyrzeczenie.

Grupa dziewcząt staje się harcerkami, pionierkami naszej drużyny.

Drużyna rozwija się szybko.

Od 13.III.37 r. na czele drużyny staje druhna Nina Kraskiewicz.

W ciągu tych ośmiu miesięcy wszystkie harcerki posunęły się o jeden, albo o dwa stopnie.

3 maja 1937 r. znowu przyrzeczenie. Nowy zastęp serc, pełnych ufności, radości i siły, wchodzi w nasze szeregi.

Był to drugi zwycięski krok.

Bo przyrzeczenie w drużynie harcerskiej jest zwycięstwem dobra nad złem, prawdy nad kłamstwem, szlachetnych myśli i wzniosłych porywów nad gnusnością i szkodliwym, czasem zdradziecko wkradającym się lenistwem.

Rok pracy nie zakończył się z rokiem szkolnym. Wyjeżdżamy na obóz w Beskidy Zachodnie za Zywiec. (2.VII—28.VII). Zdobywamy duże wyrobienie techniczne (a także i kilka szczytów; najwyższy to Babia-Góra 1725 m.), żyjemy się.

Potężne i dumne góry podniosły nasze wartości duchowe i dodały siły i chęci do dalszej pracy.

Rok ten ma dla nas wielkie znaczenie, gdyż święcimy 20-lecie od chwili założenia drużyny.

Pobudką i bodźcem do pracy niech nam będzie stary sztandar, który czekał na nas tak, jak my teraz czekamy na niego.

Otrzymamy go, gdy zasłużymy.

Więc w ślady naszych poprzedniczek—do pracy!

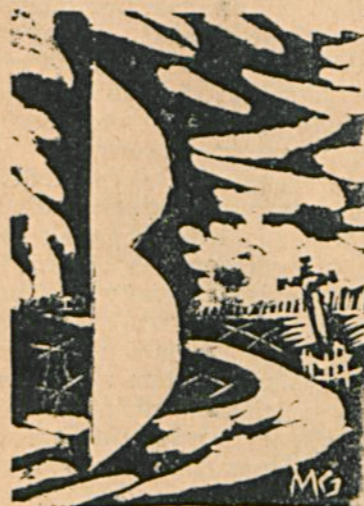
— Bieź i poznawaj, „Potoku!”

J. i N. 283.

Z w ł ó c z ę g i.

...przez lasy i pola wędrujemy w świat...
z plecakiem na barkach, z pieśnią za pan brat...
W dal siną idziemy, gdzie krąg słońca lśni...
pieśń nasza wokoło setnym echem brzmi...

(z „Pieśni włóczęgów“)



Wszystko było nas trzech. Trzech wesółych, pełnych życia chłopców. Jesteśmy już poważniejsi, bo ósma klasa gimnazjum otworzyła przed nami swe wierzaje i powitać nas chce w swych progach. Tymczasem idziemy na pola, idziemy do lasów, do zagród i wsi. Idziemy w lud.

Każdy z nas ma swoje pasje, Stach—filozofię, połączoną z pochwałą piękna; Heniek—tajemne myśli, które niezawsze wyjawia, a ja?... Krzyże, przydrożne kaplice, regionalizm, historie powstania wsi i legendy.

Oto przychodzimy do wsi Kurianki. Wieś duża, rozciągnięta szeroko. Sołtys mieszka gdzieś pod lasem, który na horyzoncie widnieje niebieską smugą. Gdzież go szukać?... Pomógł nam koszący zboże. „U naj, u naj—rzekł—jest pomocnik sołtysa, co także samo je ważny, co sołtys”. Idziemy więc do niego.

„Dzień dobry, panie sołtysie!...”

— H... ja nie sołtys, ino pomocnik!... — „Nie wiedzieliśmy!...” — Śmieje się twarz chłopca. Pomarszczona, błękitnymi oczyma jaśniejąca. Mnoży się zmarszczek jeszcze więcej w uśmiechu przyjaznym, aż wasy, rudawe, od dymu machorki, drgają pociesznie! — „Chcieliśmy prosić o nocleg!... — O prosię! do domu. Tam se panowie odpoczniecie, boście zmachane”.

Noc osłoniła świat i naszą wieś z zagrodami, polami... Niedaleko domu stoi krzyż. Niemy świadek 1863 r. Widział i słyszał nieraz tajemne narady partyzantów w chacie z naprzeciwka. Słyszał i milczy. Wyciąga jedynie ramiona w niebo i modlitwę szepce za umarłych. Szepce tak samo, jak 90-letni staruszek, ojciec gospodarza, u którego gościmy.

Nad rzeką, podczas mycia się, staruszek zbliża się do mnie i wycierając ręcznikiem wychudłe ręce i wpadnięte piersi mówi mi cichutko o powstaniu. Wyblakłe, malutkie oczy chcą zabłysnąć tym ogniem, jakim błyszczały oczy partyzantów. „Panie!... widziałem sam, jak po bitwie w lasach koło Studzienicznej — zabitych i ciężko rannych wrzucili kozacy do wielkiego dołu i zasypali. — A potem?... — Potem postawili krzyż, okręcili słomą, zapalili, po czym naśmiewali się i końmi stratali to miejsce!... Oj! panie!... panie!...”

— „Kto powstańcami dowodził, ojczyste?...” — „Nie wiem ta nazwiska, czekali tylko na jakiegoś Wawra...” — „No i doczekali się!...” — „I...i...i gdzie ta!...” — Długą chwilę mówił jeszcze staruszek. Usta mu się zacinały na wspomnienie Niemców. Stary z trudem powstrzymuje płacz. „Panie!... ja miał plecy, jak ta ziemia czarne... Przyszli Niemce, szukają u ojca nieboszczyka w chacie jedzenia i pieniędzy. Wzięli wszystko i jeszcze szukają. Chcą skrzynię otworzyć. Mówię: „brudne odzienie stare, na nic wam się nie zda!...” Panie!... jak mnie wzięli na ręce, jak rzucili na ziemię, jak zbili. Ja wstać nie mógł. Chorzałem i chorzałem. A plecy takie sine były i czarne, jak ziemia!...”



Wyszliśmy z Kurianek. Gospodyni za mleko nie chce przyjąć pieniędzy: „Toć u krowy je!... Pójdzie sie, nadoi i znów bendzie!...—W takim razie dziękujemy bardzo...” Gospodarz potwierdza naszą obecność w albumie, a jego córka Stacha kreśli po kryjomu naszej „trójce hultajskiej” dwuwiersz:

„Chcecie szlachetność okazać
w pełni swojego blasku,
Piszcie dary na marmurze,
a krzywdy na piasku!”

Pięć kilometrów od Kurianek, pod samymi Raczkami, leży majątek Dowspuda. Tutaj zachowały się resztki świetnego pałacu Paca. Długa piękna aleja. U krańca jej widnieje w gotyckich zarysach budowla z czerwonej cegły. Podchodzimy bliżej. Co za rozczarowanie!

Szczątki pałacu. Ganek poczwórny kolumnadą podparty. Cegła kruszeje, odpada. Ślady postępującego zniszczenia. Kiedyś ganek ten tworzył jedną całość z pałacem. A obecnie?...

Pewien generał rosyjski z zemsty osobistej spalił pałac. Pozostał tylko ganek i wieża od strony wjazdu. Gdy rząd rosyjski polecił mu odbudować pałac, wystawiono tam zwyczajny dom. Bez żadnych upiększeń, niski, ponury,

będący w dziwnym kontraście ze smukłymi kolumnami, z ostrym wygięciem stropu i oknami, w których tkwiły witraże, a teraz pozostały tylko ramy. Za domem wznosi się wieża. Część bramy pałacowej. Na płaskim, wrębionym szczytce para boćków założyła gniazdo. Panuje tu cisza. Konary olch wysokich, dębów potężnych trzymają straż nad żalonym wspomnieniem świetności magnata polskiego. Tylko drzewa. Bo nie znalazł się nikt, kto by postarał się o konserwację tych pięknych, a rozpadających się w gruzy—murów.

Poniedziałek 26 lipca. Pod wieczór przychodzimy nad jez. Wigry. W przystani schroniska T. K. wypożyczamy łódkę i przejeżdżamy po przez jezioro. Wieczór zapada. Za nami płyną dwie łódki z wycieczką dzieci. Spiewają!... Nad jeziorem cisza rozpostarła skrzydła i jeno struny fal drgają. A pieśń brzmi i echem rozchodzi się w dali. Ucichli. Teraz my, „hultajska trójka” — rzućmy na wody jeziora, pieśnią „włóczęgów” sławimy świat. Zamilkły głosy, zawody jezior... Także samo i wtedy świat był piękny... Długie i śliczne jezioro Serwy. Rozlane szeroko, z żółtymi obrzeżami ławic piaskowych i drzew przeróżnych: brzoźek, dębów...

Idziemy nad samą wodą. Niedaleko nury łowią ryby. Na brzegu poważnie przechadza się żóraw i spłoszony naszymi krokami ulatuje. Z łopotem jego skrzydeł z gęstwiny trzcin zrywają się do lotu kaczki dzikie. Jest nam wesoło. Włóczęga



milkły fale.

Jezioro, do tafli szklistej podobne, — duma. Może śpi — a może дума o tych czasach, gdy tam w klasztorze na wyspie dzwon zwoływał braci zakonników na modły.

Teraz tylko wspomnienie o nich przechowują mury i kościół, wyniosły ponad wody, lasy i pola. Tak trwa wspomnienie po zakonie Kamedulów.

Nic tak nie utwierdza człowieka w przekonaniu, iż świat jest piękny — jak natura. Jak lasy, pola,

daje nam wolność, zadowolenie i odczucie piękna świata. Świat należy do młodych!... Chylą się trzciny. Pianą bryzgają fale. Słońce przedziera się przez chmury i z za firanki deszczu skrzy blaskiem ciekłych diamentów. Hej!... świat przed nami... pięknem zaprasza, pięknem wabi! Wieczorną muzyką kołysze, nocą cichą... usypia.

Jezioro Krechowieckie łączy ze Studzienicznym śluza. Nad nią stary, trzęsący się mostek. Od szosy skręcamy w lewo. Przyszliśmy do wsi Studzienicznej. Zdała już widać białą kaplicę na wyspie zw. Grądzikiem. Widać krzewy, a wśród nich studzienkę, od której okolica, wieś i jezioro przybrały nazwę.

W końcu XVIII wieku pułkownik wojsk polskich, Wincenty Morawski, rzuca swobodnie, może trochę za swobodnie życie żołnierskie i jako pustelnik osiada na wyspie jez. Studzienicznego — Grądzikiem zwanej. Będąc z zawodu aptekarzem zna się na ziołach, preparuje je i leczy ludzi z okolicznych wiosek. Z licznych ofiar, otrzymanych od wieśniaków, buduje dwie kaplice: na mniejszej w 1770, na większej zaś w 1786. Obok mniejszej kaplicy wierce studzienkę, której woda ma cudowne własności lecznicze na choroby oczu. By zyskać obraz do kaplic — Morawski jedzie na dwóch osiołkach do Rzymu i stamtąd



wyzdrowienie prałata. A było tak. Jeszcze jako chłopiec miał na twarzy wrzód, który mimo najrozmaitszych zabiegów nie chciał się goić i stale ropiał. Matka poradziła mu udać się do Matki Boskiej Studzienicznej i tam poleciwszy się Jej łasce przemyć ranę wodą cudowną. Po dwóch dniach wszystko się zasklepiło. Właśnie na pamiątkę tego cudownego uzdrowienia postanowił w uczuciu wdzięczności zbudować nową kaplicę. Stała murowana kaplica w roku 1870.

W sobotę 30-go lipca rozstajemy się z naszym towarzyszem Stachem w Augustowie. Pozostajemy we dwójkę i po południu wyruszamy z miasta. Kierunek na Białobrzegi. Brzegiem Netty docieramy do szosy. Na łąkach rozbito tabór cygański. Muzyka, śpiewy. Z za małych namiotów smugi dymu wiją się jak sploty rozpuszczonych warkoczy i rozwiewają się w mglistych oparach.

Marusz 282.



My i narty.



Mroźny poranek styczniowy.
Świat, otulony miękkim puchem śniegu, śmieje się do słońca.

Pogoda jest dzisiaj wymarzona. Cieszę się; nie wiem, czy dlatego, że słońeczko nie żałuje swoich złotych promieni, czy dlatego—że niebo jest takie lazurowe, śnieg zaś tak lśniący i puszysty... Nasza od dawna projektowana wycieczka narciarska musi się bezwzględnie udać. Tak długo na nią czekałam, bo—to śniegu nie ma, to brak czasu nie pozwala...

Dzisiaj wreszcie wszystko świetnie się składa!

Muszę się należycie przygotować do naszej wyprawy.

Stach, który też weźmie w niej udział, siedzi już nad nartami moimi i swoimi i smaruje je z zapalem, przyśpiewując przy tym donośnym basem. Nie wiem, gdzie jest grubsza warstwa smaru: na jego rękach, czy na nartach. No, ale pracuje solidnie

i z zamachem. Podchodzę do pracującego w pocie czoła:

— „Szczęść Boże, panie Stachu! Jakże jest ze smarowaniem?”

— Świetnie, ale możebyś mi trochę pomogła?!

Ha, cóż robić?! Zakasuję rękawy i biorę się do pracy.

Praca we dwoje idzie prędko.

Dochodzi godz. 11. Czas wyruszyć. Punkt zborny: w Zwierzyńcu pod pomnikiem. Ubieram się w tempie amerykańskim.

Stach, który już przedtem zdażył „przysposobić się” do drogi, stoi przed domem z nartami na ramieniu. W swojej wiatrówce w kratę, czapce, nasuniętej na uszy (w obawie przed ich odmrożeniem) i z nosem, zarumienionym od mrozu, wygląda zaiste imponująco.

Gdy mu to oznajmiłam, spojrział na mnie ostentacyjnie z góry, zmierzył wzrokiem od stóp do głów i odrzekł.

— Wyglądasz teraz ładniej ode mnie, ale zobaczymy, jak będziesz wyglądała potem. Bo że odmroziś sobie ucho, które zanadto wygląda z pod beretu, albo nos—to jestem więcej, niż pewny.

— Ej, przestań, Stachu, snuć takie ponure horoskopy. Już dam sobie jakoś radę i postaram się wyjść cało z tej wyprawy narciarskiej. I ruszajmy, bo już czas.

— Wstąpimy jeszcze po drodze do Jadzi. Dobrze?

— Zgadzam się na wszystko.

Wyruszamy. Rażne miny, dziarski krok. Stachowi, który dźwiga narty, zaczyna robić się gorąco. (Zapewniał mnie, że narty są lekkie, jak puszek). Dochodzimy do Jadzi. Wstępuję do niej. Ona oczywiście jeszcze nie gotowa. Stara się wytłumaczyć swojej mamusi, że bez drugiego swetra będzie jej na pewno wystarczająco ciepło. Odnosi to jednak mały skutek. Ostatecznie sprawa zostaje załatwiona w ten sposób, że Jadzia na pulower wkłada wiatrówkę.

Zabieramy narty i wychodzimy.

Na ulicy jest niezły śnieg, więc jednogłośnie przyjmujemy projekt Jadzi, przypinamy deski i jazda po śniegu—brzegiem jezdni!

Stajemy się atrakcją dla otoczenia, budzimy ogólne zainteresowanie.

Przechodnie robią na nas „wielkie oczy”, oglądają się, a nawet przystają. Widocznie dość ekscentrycznie wyglądamy.

Nie zważamy na to i bez większych przygód docieramy do pomnika w Zwierzyńcu.

Godz. 12.30. Czekamy na pozostałych uczestników wycieczki. Mija nas wielu amatorów sportu narciarskiego różnego wieku i płci. Ogólne zaciekawienie wzbudza pewien jegomość, który również chcąc zażyć przyjemności tego sportu uczynił zaprząg ze swego psa. Piesek dość opornie posuwa się naprzód, raczej ciągle zbacza w kierunku pobliskich drzew. Pan irytuje się i przywołuje czworonoga do posłuszeństwa. Krnąbrne zwierzę nie daje się ujarzmić, wyrwa się. Rzeczywiście, osobliwego skiöringu (czy jak to nazwać), chciał ten pan użyć!... Przyglądamy się zmaganiom rozgniewanego pana z nieposłusznym psem. Wtem słyszymy:

— Czołem braci narciarskiej!

O, to Fela i Kazik. Nadjechali z drugiej strony, nie zauważeni przez nas. Ogólne powitania; krzyżują się pytania i odpowiedzi,

— Fela, wzięłaś aparat?! O, to świetnie. Zrobimy kilka zdjęć.

— Dokąd jedziemy?

Większością głosów zdecydowaliśmy: do cegielni!

Śnieg dobry i teren odpowiedni. Więc jazda!

Odjechaliśmy już spory kawałek, naraz słyszymy wołanie:

— Zaczekajcie, nie pędźcie tak!

Oglądamy się. To Mietek. Goni nas, wymachując kijkami.

Litujemy się nad nim i przystajemy. Dogania nas wreszcie.

W zwiększonym gronie jedziemy trochę prędzej ku wielkiemu niezadowoleniu Mietka. On zawsze trzyma się zasady: „Spiesz się powoli!” My zaś, t. zn. większość towarzystwa, uznajemy inną zasadę, a mianowicie: „Czas—to pieniądz”. Posuwamy się dość prędko, co jest możliwe, bo śnieg na szosie względnie dobry. Na końcu „pełźnie” Mieciunio. Stach „nabija się” z niego, jak może:

— Miecuś, twoje postępy w dziedzinie sportu narciarskiego są zadziwiające. Przepowiadam ci chlubną przyszłość narciarza-długodystansowca. Nie zniechęcaj się początkami. Lepiej zaśpiewaj cokolwiek, to zapomnisz o zmęczeniu.

Mietek nie chce skorzystać z tej braterskiej rady i sunie w milczeniu.

Nareszcie dojeżdżamy do cegielni. Na wzgórzach roi się od narciarzy. Jest też grupa amatorów saneczkowania. Właśnie 7, czy 8 dość potężnych osobników usadawia się na długich sankach bobsleyowych. Pod tym ciężarem płozy zarywają się w śniegu i sanie nie chcą ruszyć. Ktoś popycha je, ale i to nie odnosi skutku. Wszyscy wysiadają z sanek i konstatują, że góra jest za mało spadzista. Idą szukać bardziej stromej.

My tymczasem szykujemy się do zjazdu. Pierwszy „zdobywa się na odwagę” Stach. Zjeżdża z rozpędem. Wspaniale. Wygląda, jak Marusarz! Potem Kazik — i ten zjeżdża świetnie. Wołają z dołu na nas: Dodają nam otuchy. No, niech się dzieje wola nieba!

Zjeżdżam. Muszę się przyznać, że „troszeczkę” boję się...

Przymykam oczy, odpycham się, unoszę kijki do góry i jazda! Wiatr świszcze koło uszu, wszystko ucieka z przed oczu, lecę w dół z szaloną prędkością. Zaczynam hamować.

Już jestem na dole!—Wrażenie wspaniałe!—

Zjeżdżają Fela i Jadzia—też szczęśliwie.

Teraz kolej na Mietka. Zachęcony naszym przykładem pędzi też z góry. W ostatniej chwili omal nie zarywa się nosem w śniegu, ale jakoś zachowuje równowagę, nie odnosi żadnego szwanku. Znowu „wdrapujemy się” na górkę i teraz zjeżdżamy bez najmniejszego strachu. Co za przyjemność jest tak pędzić! Szukamy innych zjazdów.

Fela przypomina, że wzięła aparat i musi zrobić fotki. Robimy na oczekaniu grupę: „wdzięczne” miny i zdjęcie gotowe!

I znowu zjeżdżamy! Humory wszystkim dopisują.

Nawet nie przypuszczamy, że już dochodzi godz. 5.

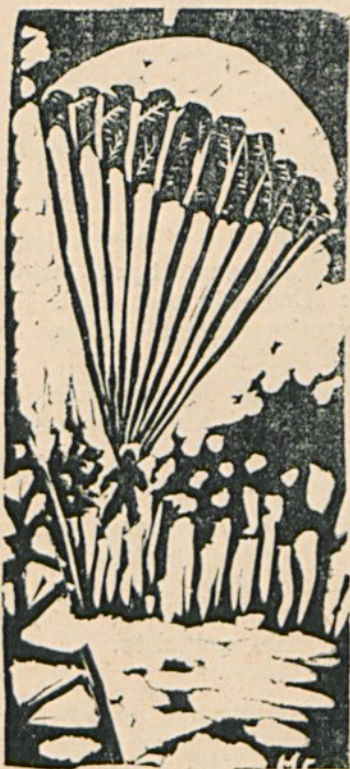
Czas tak szybko mija. Hasło do „odwrotu” daje Mietek, którego wzywają do powrotu jakiejś ważnej sprawy. Łączymy się z nim, stwierdziwszy, że razem przyjechaliśmy, więc odjeżdżamy—też w komplecie.

Zmęczenia nie odczuwamy wcale. Świetnie się jeździło!

Jakże cudny przeżyliśmy dziś dzień!

M. 283.

Mój lot ze spadochronem.



Wydawszy wyczerpujące instrukcje pogrzebowe z rezygnacją i bohaterstwem wstąpiłam na pierwszy stopień wieżyczki spadochronowej.

Twarz moja, jak mnie później informowano, odzwierciedlała w pełni myśl i uczucie, zawarte w apelu: „Młodzieży! Na ciebie patrzy Polska i świat cały”, członki zaś posuwały się w harmonijnym skoordynowaniu powagi z dumą. Niestety cała ta wzniosłość zanikała proporcjonalnie do przebywanych zakrętów wieży, a już blisko celu, o wstydzie! drżały mi nawet trochę nogi. Naturalnie samo przez się rozumie się, że tylko ze zmęczenia. Jeszcze kilka ostatnich schodków i osoba moja znalazła się już całkowicie „nad poziomem”. Z wyżyn tego nowoczesnego Olimpu zmierzyłem pobłażliwym okiem tłumy, zalegające zwartą przestrzeń u moich stóp.

Zamiast ambrozji i nektaru podano mi zielony kombinezon. Oddałam się natychmiast nie tyle przyjemnej, ile pożytecznej czynności zapinania jego sznurów i gęsto rozmieszczonych guzików.

Ta żmudna praca zajęła mi sporo czasu. Potem... Co nastąpiło potem?

Otworzyły się drzwiczki balkonu i z niewyraźnym uśmiechem na ustach stąpiłam... w przepaść! Czuję, jak smukła sylwetka moja, dzielnej i odważnej pilotki, zahybotawszy się lekko w powietrzu z gracją spływa na ziemię. Spłynęła! Cała ta przeprawa nie

trwała więcej jak kilkanaście sekund. W tych warunkach nie dziwnego, że wrażeniami z tego bohaterskiego lotu nie będę mogła zaspokoić pragnień koleżanek, głodnych zwierzeń. By je nie pozbawiać należytego dla mnie szacunku, opowiem odrzucając skromność, że owszem, owszem, przygody nawet były. Że mnie w lazurach strasznie kusily i przyzywały złotowłose aniołki, które jak duchy opiekuńcze krążą dookoła miejsca zlotów. Oparłam się jednak pokusie, bo umiłowawszy ten ziemski padół nie porzuciłabym go nawet dla niebios. A zresztą, kto by wtedy napisał swe wrażenia do „Głosu”? Kto by zachęcił innych do tak milej i emocjonującej próby, jakiej dokonałam?

G. B. 283.



„Głos Uczniowski” w zwierciadle krytyka.

„U progu nowego roku szkolnego”

w inscenizacji kol. Wł. R. z 281.

Najmłodszych — nowe siły i dusze:
witamy, witamy, witamy!

Najstarszych — lzy i ośmioletnie katusze:
żegnamy, żegnamy, żegnamy!

Na opis „Z obozu wypoczynkowego”.

Kiedyśmy wstały był ranek.

Jadłyśmy obiad w południe.

Z kwiatków uplotłyśmy wianek
i bawiłyśmy się cudnie.

Potem poszłyśmy na wycieczkę;
maszerowałyśmy zaczarowanym borem;
odkryłyśmy w gąszczu rzeczkę;
no i poszłyśmy spać wieczorem.

Na fragment „Z mojej włóczęgi”.

Rośnie dąb w Koninach, co ludzkim gada głosem,
a wróbel ody nuci, gdy ku niebu leci.

W majątku Psy jest jodła porośnięta włosem,
a wieś Bajki zamieszkują ponoć sami poeci.

Zbłądził w lesie pan Marusz i drzew pyta żałośnie:

„Czy dziś jest środa, czy też może wtorek?”

A opodal stał drogowskaz na olbrzymiej sośnie:

„Droga prosta na lewo prowadzi do Tworek”.





O „Komecie i człowieku”.

Wenus tańczy z Jowiszem w nieznannej przestrzeni,
Uran Neptuna chce schwycić w swe dłonie,
A „Astronom” siedzi na stosie olbrzymich kamieni
i marzy sobie w zadumie na przyrody łonie.

„Dlaczego to sprawna i silna ta ręka człowieka
nie stworzy linii „Merkury — Mars — Madera,
przecież rakieta na Pluton droga niedaleka...”
—tu przerwał, bo uderzyła go w głowę kometa Finslera.

Na autorki artykułu p. t. „Na giełdzie”.

Czarny Mefisto, strażnik hadesowej bramy,
na megafonie tangiem siarczystym wywija,
trzyma w swym ręku głowę jakiejś pięknej damy
i pyta wszystkich wokoło: „To czyja?!”

Weszły dwie panienki na przedwojewódzki plac
i trzymają pod pachą książki prawie nowe.
Jedna z nich rzecze: „Julisiu, o patrz,
czy nie ty zostawiłaś „na giełdzie” swą głowę?”

Oskar — 282.

DZIAŁ LITERACKI

W dniu Jubileuszu.

Dziś lat piętnaście już mija od chwili,
Gdy „Głos Uczniowski” wyszedł pierwszy raz.
Własnym wysiłkiem myśmy go stworzyli,
W nim się zawiera jakaś cząstka nas.

Cel bowiem jego być spójnią młodzieży,
Na swoich kartach kłaść jej myśli treść,
Nieść chętnym pokarm zawsze zdrowy, świeży
I ducha młodych na wyżyny wieść.

Niechaj życzenia, co z ust moich płyną,
Będą Mu jakby podzięką za trud,
Podzięką też dla tych, co nocną godziną
Tworzyli dlań z myśli czarodziejski cud.

S. Pankowski 281.

Do Braci duchem!

Choć romantyzm pozostał w przeszłości,
Choć materia góruje nad duchem,
Uczcijmy dawne pomniki wielkości
I ręce bratnim połączmy łańcuchem.
To, co minęło, i to, co przybędzie,
Połączmy w jedno dla ludzi orędzie!

Trzepocą bielą, trzepocą czerwienią
Z wiatrem na maszcie narodu sztandary.
Ziemia pokryła się świeżą zielenią,
Lecz nie przeminął czas walki, ofiary.
I ona ciągle nadal trwa nad ziemią.
Ci, co nie widzą, to śpią, albo drzemią!

Podnieście oczy do wyżyn lazuru,
Niech mgła nareszcie spadnie z naszych powiek!
Czy nie słyszycie ciemnych mocy wtóru?
Czy nie widzicie jak pada brat-człowiek?
Że duch, co przetrwał katorgę i knuty,
Trucizną wroga powoli jest truty?!

Bracia! My młodzi! Wszak przyszłość przed nami!
Naszą jest rzeczą, aby zło usunąć.
Wszak jednej ziemi jesteśmy synami.
Czy gmachom jutra pozwolimy runąć?
Niech wola stanie się, jak granit twarda
I buchnie czynem w górę, jak petarda!

Nie pragnę roli przed Wami grać barda
I przewodniczyć urojonym tłumom,
Lecz chcę, by ręka jęła się oskarda
I zdruzgotała potwora komuny.
Niech zgodna praca rozumnej ludzkości
Przywiedzie wszystkich do bram szczęśliwości!

S. Pankowski 281.

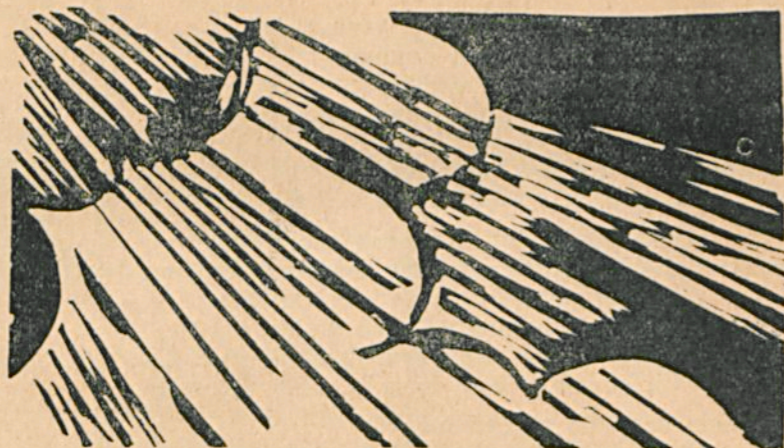
K l a s ó w k a.



W klasie cisza głęboka, jakbyś posiał makiem...
Ucichły półseptyane, urywane słowa...
Z rzadka z ponad zeszytu unosi się głowa
I czyjeś oczy spojrzą z zapytania znakiem.
Zda się słyszeć serce głośnie niespokojne bicie,
Nerwowo dłoń naciska obsadkę czerwoną
I w silnym podnieceniu pośród włosów płoną
Uszy, jak krasne maki, palące się w życie.
Czasem nagle westchnienie spadnie w głuchą ciszę
I wtedy słyszeć można lot natrętnej muchy...
Ktoś na ławce skrzypiącej nerwowymi ruchy
Poprawił się i znowu z namaszczeniem pisze...
Ktoś nagle papier zmiął i cisnął o podłogę...
Ktoś obejrzał się... szepnął... szeleszczą półsłówka...
Ktoś spojrzął na zegarek... widać w oczach trwoga...
Pośpiech... cisza... obawa!... To przecież klasówka!

J. T. III 282.

Słoneczne koło.



Jak cudnie księżyc na niebiosach świeci
i gwiazdy płoną na błękitnym tle!
Czemu więc noc ta tak, ach! prędko leci.
Już dzień swe brzaski na niebiosie śle
i precz przepędza promiennymi pióry
Mrok, księżyc, gwiazdy za rzeki, za góry.

W miejsce księżyca wschodzi słońce złote,
Rozprasza ciemność, budzi cały świat,
Ożywia ziemię swym strzelistym grotem
I radość wciela w drzewo, źdźbło i kwiat.
Sprowadza uśmiech na stroskane twarze
i wieńczy blaskiem kościelne ołtarze.

Już słońce stoi wysoko hen w górze,
świat cały kąpie w woni kwiatów, ziół.
W jego promieniach kwitną bzy i róże
i morze kwiecia wśród łąk, pól i siól.
W lasach brzmią zgodnie licznych ptasząt trele,
w stawach, na błotach żab głośnie kapele.

Tak mija dzień jasny w tej Bożej ustroni.
Lecz oto słońce dobiega swych dróg
i już ostatnie blaski rzuca pośród toni,
zapada wreszcie poza ziemski próg.
I znów nastaje noc cicha i błoga,
która czaruje ludzi z woli Pana Boga.

S. Z. II A 281.

Rozśpiewały się skrzypce.

Rozśpiewały się skrzypce.

Coś w nich chichocze, śmieje się, coś szepce.

Smyczek szybko biega po strunach, skacze, opada ciężko na nie, to znowu w locie ledwo je trąca. Z pod palców artystki wydostają się tony swawolne, drżące, perłą się kaskadami śmiechu, radości, wesela.

To „Wariacje”.

Szalone dźwięki piętrzą się, rozbawione gonią się wzajemnie, gubią się, wirują jak srebrzyste płatki śniegowe. Jakby wyczarowane lekką ręką wróżki, drgają w powietrzu coraz ciszej i ciszej...

Rozkrzywane dźwięki oddalają się, a ze skrzypiec wypływa słodka, kojąca melodia i rzuca ciepły blask na twarze słuchających.

Miękkie tony falują, drżą...

A skrzypczki w natchnieniu wyczarowują coraz to nowe dźwięki, melodie. Oto—modlitwa Händla. Brzmi coraz potężniej, głośnie, dochodzi do zenitu, wreszcie cichnie. Rzewne, spokojne tony opasują delikatnymi ramionami duszę i unoszą ją wyżej, wysoko — aż do tronu Najwyższego.

Mika 283.

W dworku ciotki Adelajdy.



I.

W całej podróży to było najciekawsze, że do dworu ciotki Adelajdy trzeba było jechać z miasteczka — lasem ogromnym i gęstym—w nocy. Miało to swój urok, wdzięk niewysłowiony i wielki majestat powagi, kiedy sanie nasze, obladowane ciężko, przy janczarów brzęku radosnym — po śniegu sunęły puszystym w ciemną drogi przestrzeń.

Snuły mi się wtedy po głowie myśli. Chyże, jak ten wiatr w twarz nam siekący okrutnie, stare, jak ten bór, co po obu stronach czernił się drogi, z którego wnętrza lęk szedł straszny i groza. Widziało się wtedy spod lekko przymkniętych powiek przeszłość. Rozwiniętą w szerokiej przestrzeni. Odbitą w nieba gwiazdzistym kwadracie. Płynącą w oczy ciepłym strumieniem. Gdzieś daleko.

— Kulig! Pochodnie, blaskiem bijące w twarz. Śniegu tumany wzniesione. Wrzawa. Wystrzałów huk. Konfederatek barwy i karabeli złowrogi błysk. Rozpłomienione twarze. „Hej-że! Hajduki, a żywo! Niech konie tną powietrze piersiami dzielnymi, nasze sanie niech lęcają w dal! — Mości panowie! Wiwat wojewoda!”

Niknie wizja, biczem woźnicy rozwiana.

Szukam na próżno jej śladów w śniegu pagórkach wysokich.

Śladu kopyt końskich; szlaku, który od lat nie istnieje. Wzrok mój łamie się i kruszy o pnie pierwszych drzew. Pustka.

Wielka żalność za tym, co minęło. Serce bije gwałtownie i tak dziwnie mocno.

* * *

Gdyśmy tylko przed ganek wjechali buńczucznie, ze zgrają psów, czepiających się naszych sań, pamiętam, Ciotka na próg wyszła, uścisnęła nas mocno, czule, tak po polsku: z animuszem i fantazją, i zaraz z gwarem, hukiem — prowadziła nas, jak zdobycz drogocenną, do gościnnych izb. Pytaniom, uśmiechom, przegwarkom nie było końca. Tym bardziej, że ze wszystkich stron, jak duchy w szekspirowskim dramacie, szły nas witać coraz to inne kuzynki, zaspane uroczym, kuzyni węsate, srogie a wesołe, i jakieś inne nieznanne mi bliżej osoby. Sciskano mię, podawano z rąk do rąk, całowano, oglądano, niby niezwykle jakiś okaz ludzkiego rodzaju. Oddałem im się cały. Stałem się masą bierną, uściskami zgniecioną, nieczułą.

* * *

Zanim poszedłem spać, stałem długo w oknie, wpatrzony w gwiazdzisty błękit nieba. I w księżyc. Wielki i jasny.

Ogarnęły mię wspomnienia. Dalekie. Drogie. Miłe.

W tym pokoju, jeśli się nie mylę, napisałem przed trzema laty pierwszy wiersz. Pamiętam go dobrze.

Była tu wtedy z nami na Wigilię Bożego Narodzenia pewna panna trzynastoletnia: Danusia! Imitacja człowieka: dumna i zarozumiała, choć przyznając, śliczna. Jak Romeo, zapalałem miłość do niej. Była to miłość czternastoletniego młodzieńca. Ale jakiego młodzieńca? Ha! Zazdrości! Vernego znałem na wylot. M. kuszyńskiego na wrywki. Nie mniej w Indiany, Bawole Zęby i Srocze Oka bawiłem się dumnie z chłopakami wesołymi na polach rozległych. Kwieciami przybranych i słońcem. Pachnących szczęściem. I umiałem na pamięć, dalibóg że umiałem, dwadzieścia cztery wierszy Staffa, najukochańszego poety!

Ale panna gardziła — jakimś prawem nienaturalnym — moją osobą. I wołała, o naiwna, bawić się ze swymi lalkami, niż ze mną w „bacy“. Wtedy to powstał mój pierwszy wiersz. Wiersz cudny. W goryczy kąpany i łzach. Szalony, jak ból zębów. Pijany księżycem, jak Makuszyński.

„Ona“ miała w nim oczy (och, skonom) jak „nieba błękit jasny“, a włosy niby „lno nitki białe“, a usta, niech mi pióro pęknie, jeśli kłamię — „jak korale, czerwienią bijące kiej (prowincjonalizm) róże“. A ja — nieszczęsny, zdradzony — konałem na marzeń młodzieńczych marmurze“. O, Boże! Czy nie piękny był to wiersz?

I długo jeszcze stałem tak w tym pokoju pustym sam, myślą w przeszłości, ale jakiś inny, obcy i nieczuły. Kiedyś, kiedy tylko wpadłem do tego pokoju, chwyciłem w objęcia każdy przedmiot, całowałem obrazy przodków w kontuszach, cieszyłem się dziłą radością człowieka, którego nie poza tym nie obchodzi. Byłem szczęśliwy i wesoły. Dziś chciałbym być znów takim. Znów te słarowieckie meble do piersi tulić czule. I z Mickiewiczem rozmawiać przy lampie. Jak przedtem, jak przedtem. Ale coś mię trzyma, dręczy, duszę rwie.

Czułem, że jestem inny. Poważny jakiś i nie swój.

Czy już nigdy te lata nie wrócą?

* * *

Nie mogłem tej nocy zasnąć. Męczył mię obraz, wiszący na ścianie, z którego ram szerokich szedł ku mnie z rękoma wzniesionymi... Sienkiewicz. Stanął przy moim łóżku i — przebóg! — płakał.

Czyżby Bar wzięty? A może Zbaraż? Czy Skrzetuski zabity? Hej, panie Wołodyjowski i ty, Zagłobo kochany, co wy sobie myślicie? Cóż to, moi panowie, pan Henryk płacze, a wy milczycie? Co się ze mną dzieje? — Chciałem uciekać z pokoju, gdzieś w pola dalekie, w las, w tę noc ciemną, w błękitu mroźną rozległość. Ale siła mię jakaś w pościeli trzymała kamieniem. Twardym i ciężkim. Leżałem więc wprost martwy, żalości pelen.

I długo księżyc stał wciąż w oknie.

II.

Ciotka Adelajda szanowała tradycje.

Któregoś wieczora posadziła mię koło siebie na kanapie i rzekła:

„Musisz, mój drogi, w przyszłości zapuścić wąsy. Co to za Polak, proszę ciebie, bez tej naturalnej oblicza ozdoby. Pamiętasz nieboszczyka mego? (niech mu dobrze w niebie będzie). Pamiętasz te jego wąsiska od ucha do ucha. Jak nimi ruszył sumiaście, z fantazją kawalerską, z powagą, to się wszystkim pannom liczka rumieniły. Oczy świeciły. Przepadały za nim. A Batory, Sobieski, Chrobry. Wszyscy dzielni Polacy wąsy nosili. I jakie jeszcze Daj mi słowo, kochanie, że pójdziesz modzie współczesnej na wspak i wąsy długie zapuścisz. Daj! — A ja, tak samo, jak i ona w konuszach, karabelach i kołpakach rozkochany, gorące u jej stóp składam przysięgi, że jak Twardowski będę miał wąsiska. Chwaliła mię za to i kochała najwięcej z naszej licznej rodziny.

Ciotka Adelajda dzielnie walczyła o tradycje narodowe w swoim dworku cichym i bardzo miłym. Kocham ją za to.

* * *

W czasie wigilii nastąpił w duszy mojej przełom.

Kiedy wuj Hipolit, dostojny, wielki i siwy pan, o stół się oparł, chrząknął, wąsa przyglądził białego (od ucha do ucha) i jął mówić:

— Mili moi. Tu w tej sali nieraz do wigilii zasiadano wspólnej. Co rok o tej samej godzinie łamano opłatek, życzenia składano sobie serdeczne. Mili moi. Oto widzę dziada Seweryna, jak z opłatkiem w drżącej ręce ku dzieciom i wnukom swoim idzie. Dzieli się. Płaczą. Chrystus się rodzi. Gloria! Słyszycie? Gloria! I dziś tak samo. To nic, że inne przy tym stole osoby, ubiory. To nic. Chwila ta, najdroższa, nigdy się nie zmieni. Zawsze tak samo święta i droga. Jesteście tacy sami szczęśliwi, weseli, jak wtedy, kiedyście pierwszy raz do wspólnej zasiadali wigilii. Niech serca wasze biją radością, jak wtedy, jak wtedy! Świat przed wami. Życie!

A potem dzielił się opłatkiem.

I nagle szalona ogarnęła mię radość. Bez granic. Potężna. Wspaniała. Szczera. Wrócili w myśli tamte lata.

Chciałem znów biec do mego pokoju, meble tulić do piersi, przodków obrazy całować, kozły fikać na miękkim dywanie. Jak wtedy, jak wtedy!

Dźwięczały mi wciąż w uszach hipolitowe słowa. Mój Boże. jaki byłem szczęśliwy! Jakbym się wcale nie zmienił. Spojrzałem na ciotkę. Patrzała uśmiechnięta na mnie.

Mimowoli przesunąłem ręką po twarzy, pod nosem. Wąsy! Czy mi wąsy nie wyrosły? Niestety, pusto. Gładka powierzchnia skóry wymyka się spod palców. Zarumieniłem się i zażenowałem. Ciotka chusteczką zakryła śmiejące się usta. Wuj Hipolit coś znowu mówić zaczął. Coś o tradycji wiekopomnej. Kielichach, wzniesionych do góry. O miodzie. Kocham dziś i wuja Hipolita, choć go kiedyś nie znośłem.

III.

Oto mały fragment jednego cudownego pobytu w bardzo miłym dworku ciotki Adelajdy.

By wszystko o nim napisać: o radości, co tam mieszka; o śmiechu i radości, co jego pokoje wypełnia, trzeba nie małego talentu. To nie na moje siły.

Rzucam tylko krótki niedołączony szkic na cierpliwy, wyrozumiały papier. Szkic o bardzo miłym dworku ciotki Adelajdy.

Niech i inni o nim wiedzą.

Niech wiedzą — prawda? — ciotko Adelajdo!

Moje odpowiedzi Redakcji

z czterowerszowymi dopiskami Oskara.

P. Sz. Artykułu pod pseudonimem „Pół-Szatan“ umieścić nie możemy, ponieważ zbyt gwałtownie zareagowaliby na to wszyscy nasi czytelnicy. Kol. z tym pseudonimem znamy wszyscy i uważamy za całego szatana.

(W miasteczku Osłowo straszne działy się sprawy: słyhać było grzmoty i ryki od wieczora do rana. Aż pewnego razu jakiś dedektyw ciekawy wykrył, że były to brewerie furiata, co udawał szatana.)

Z prasy kryminalnej.

P. Z. Nowelka pod tytułem „Zakochana“ poszła do kosza. Nie możemy drukować takich nonsesów, jak np.:

„Okres zakochania jest to zachwianie się władz umysłowych“.

Młódzież obecna jest nerwowa, przeczulona na punkcie swego zdrowia, więc obawiamy się, że zabrakłoby miejsca w Choroszczy.

(Gdy zakwitły kwiatki pierwsze, pokochał pannę Dianę.

Pisał wtedy cudne wiersze i głową bił o ścianę)

Z piosenki ludowej: „Zakochany Fijoł“. (Inn. pims!)

P. O. Artykułów kol. O-a, zanim nie opanuje swego języka, który jest jado- witszy niż afrykańskiej żmii, drukować nie będziemy.

(„W afrykańskiej dżungli gdzieś koło równika schwyciła w gardziel żmija niewinnego słowika! (!) Na zjeździe drzew w Honolulu (gdzie były i polskie dęby) padła decyzja, by tej żmii usunąć jadowite zęby“.)

Z prasy sensacyjnej.

P. P. Wiersze kol. Pankiewicza są zawsze mile widziane. Proszę ich przysyłać dużo, bardzo dużo, żebyśmy mieli z czego wybierać. Chyba to koledze nie sprawi trudności. Gdzieś kiedyś ktoś powiedział:

„Wiersze pisać nie trudnego: zmoczyć pióro w atramencie, szukać rymów — ten do tego, ot, i całe przedsięwzięcie!“

(„Miał papier i atrament, pióro zaś maczał w miodzie, mówił aktami, śpiewał trioletem, jadł poematy i sypiał na odzie, a do płaczu ludzi doprowadził senetem.“)

Z „Zyciorysów wielkich poetów“.

P. S. Artykuł kol. „Ja“ po zupełnym przerobieniu umieścimy. Rozczarowania osobiste nie dają prawa do pesymizmu.

(„Prof. Gąbka zrobił olbrzymie odkrycie, zbudował maszyny, które nazwał „Nicponie“ i ustawił je w miasteczku Niebycie, gdzie przerabia obecnie owieczki na słonie“.)

Z prasy naukowej.

P. X. Piszącemu pod pseudonimem X. X. radzimy szczerze zaniechać pisania wierszy. Z tej mąki chleba nie będzie. Pomimo prośby—wiersza, zaczynającego się od słów: „I tu skała. i tu skała, a kamienie—drała, drała!“, umieścić nie możemy.

(„Pisałem wiersze. Dużo się razy kochałem. Poeta z sąsiedniej ulicy puścił dom mój z dymem. Raz leciałem samolotem. Trzy razy się wieszałem, a u kresu żywota własnym przebito mię rymem“.)

Z „Pamiętników liryka“.

Jot-A. 283.

Kronikol

Z gimnazjum żeńskiego im. A. Jabłonowskiej.

Uroczystość 11 listopada. Dn. 11.XI ku uczczeniu pamiętnej daty 11 listopada odbyła się uroczysta akademie. P. dyrektorka Kolendo w swoim wstępnym przemówieniu zwróciła się do nas, abyśmy w dni świąt narodowych wzbudzały w sobie postanowienie usilnej pracy nad sobą celem przygotowania się do przyszłej naszej działalności nad wzmocnieniem siły i potęgi państwa naszego.

Cel ten powinien nam przyświecać ze względu na to, że musimy jako kobiety—Polki utrzymać tradycje pracy dla Państwa naszego. Nasze matki i babki brały udział w walkach o niepodległość Polski, my zaś obowiązane jesteśmy utrzymać, utrwalić i wzmocnić jej mocarstwowe stanowisko.

Następnie zostało odegrane staraniem kl. IV.a przedstawienie p.t. „Wesele Śląskie“, które potem powtórzono dn. 14.XI. Ponadto na program uroczystości złożyły się wiersze, śpiewy i krótki odczyt o Śląsku.

Przedstawienie. Dn. 7.XII. kl. II b urządziła inscenizację piosenek ludowych (powtórzono w niedzielę dn. 12.XII.)

Koncert. Dn. 11.XII w auli naszego gimnazjum odbył się koncert O.R.M.U.Z.-u.

Komunia Św. Dn. 16.XII. uczennice naszego gimnazjum przystąpiły do komunii św.

Oplatek. Dn. 22.XII. po przemówieniu, które wygłosiła p. Dyrektorka Kolendo przedstawicielki klas dzieliły się oplatkiem i składały życzenia Gronu Nauczycielskiemu.

Sodaliczka. Dn. 8.XII. w dzień święta naszej Sodaliczki odbyło się uroczyste przyjęcie do Sodaliczki nowych członkiń.

Po nabożeństwie zebrały się one na śniadaniu.

Wieczorem urządzono akademię, na którą były zaproszone Sodaliczki męskie oraz rodzice.

Dn. 20.XII. Sodaliczki dzieliły się oplatkiem podczas wspólnej wigilii.

Rada Naczelna. Celem zachowania porządku Rada Naczelna zorganizowała dyżury na korytarzach.

Dyżurują kolejno uczennice poszczególnych klas począwszy od kl. VIII.

Prócz tego uczennice podzieliły się na dziesiątki, z których każda ma swoją „starszą“.

P. W. K. Dn. 11.XI. P. W. K. naszego gimnazjum wzięło udział w defiladzie.

W związku z prowadzoną pracą pierwszego rocznika przechodzi „służbę wewnętrzną“, drugi—strzelanie i łączność.

Dn. 21.XII. odbył się oplatek wszystkich hufców w sali parafialnej.

Harcerstwo. Dn. 10.XI. w Zwierzyńcu koło pomnika harcerki drużyn I i III naszego gimnazjum złożyły przyrzeczenie.

Uroczystość odbywała się w podniosłym nastroju w obecności drh. hufcowej i drh. komendantki.

Dn. 27.XI. dorocznym zwyczajem były obchodzone „Andrzejki“, w których uczestniczyły drużyny żeńskie: pierwsza i trzecia, i męskie: druga i piąta.

Dn. 18.XII. odbył się kominek dyskusyjny I drużyny naszego gimnazjum.

Dyskusja była na temat przeczytanych artykułów ze „Skauta“ p. t. „Doświadczenia Jamborowe“—drh. Machalskiego.

Dn. 19.XII.—4 drużyny—z I drużyny otrzymały I stopień.

Dn. 22.XII. w Zwierzyńcu odbył się oplatek harcerski przy ognisku.

Z gimn. im. Marsz. J. Piłsudskiego.

Akademia. Dnia 29 listopada b. r. odbyła się akademie, zorganizowana przez klasę III-a, przy łaskawej pomocy P.P. Prof. Zakrzewskiej i Sobierajskiego. Po referatach kol. Wenysława i Tyszkiewicza odegrana została przez klasę III-a sztuka sceniczna. Następnymi punktami wieczoru

były: piosenka w wyk. chóru kl. VIII, oraz melodeklamacja pióra kol. M. Głuszka, w wyk. autora i kol. Mikołajczaka. Dochód z akademii został przeznaczony na F. O. N.

Spowiedź. Dnia 18 grudnia b. r. uczniowie naszego gimnazjum wzięli udział w ogólnej przedświątecznej spowiedzi. Dnia następnego przystąpiono do Komunii Św.

Oplątek. Dnia 22 grudnia b. r. po trzech lekcjach odbył się w auli gimnazjalnej oplątek. Kol. Tyszkiewicz złożył Panu Dyrektorowi życzenia w imieniu wszystkich kolegów. Następnie, po krótkim przemówieniu, Pan Dyrektor wręczył nagrody, które uzyskali na konkursie krajoznawczym nast. koledzy: Głuszek M., Popławski E. i Androsiuk J. Na zakończenie odśpiewaliśmy kolędę, a orkiestra gimnazjalna pod batutą p. prof. Sobierajskiego wykonała kilka utworów.

Z gimn. im. Kr. Zygmunta Augusta

Akademia. W dniu 10 listopada, w 19-tą rocznicę odzyskania Niepodległości Polski, o godz. 18 wieczorem odbyła się w auli naszego gimnazjum uroczysta akademia, na którą złożyły się: przemówienie ks. Dyrektora, referat kol. prezesa S.U., żywe obrazy z powstania listopadowego, styczniowego, kościuszkowskiego i wojny światowej, chór i koncert orkiestry szkolnej pod batutą p. prof. Sobierajskiego.

Koncert. W naszym gimnazjum w dniu 11.XII staraniem ks. Dyrektora odbył się koncert, na który złożyły się: śpiew p. E. Bendera—bas przy akompaniamencie p. S. Nadgryzowskiego i gra na wiolonczeli — p. T. Kowalskiego.

Ślizgawka. Dzięki staraniom Komitetu Rodzicielskiego przy gimn. im. Kr. Zygmunta Augusta gimnazjum nasze znów

uzyskało ślizgawkę w parku wojewódzkim.

Odczyt. W auli naszego gimnazjum w dniu 17.XII-37 odbył się odczyt przy udziale około 150 osób, wygłoszony przez p. dyr. Stemlera na temat „Szkolnictwo w Niemczech”.

Spowiedź i komunie św. Pierwsze półrocze szkolne zakończyliśmy spowiedzią, która odbyła się dnia 19.XII-37 w Farze, i komunią św., do której przystąpiliśmy po wysłuchaniu uroczystej mszy św. w dniu 20.XII-1937 r.

Zakończenie I-go półrocza szkolnego. Na zakończenie I-go półrocza szkolnego zebraliśmy się w auli, gdzie ks. Dyrektor zreferował krótko dotychczasowe wyniki pracy w szkole.

Następnie po przemówieniu prezesa S. U., złożeniu życzeń świątecznych, odśpiewaniu kolendy „Bóg się rodzi” rozeszliśmy się do swoich klas, gdzie po przełamaniu się opłatkiem i otrzymaniu świadectw udaliśmy się do domów.

Przedstawienie. Jak się dowiadujemy, wystawienie tragedii Woltera p. t. „Catalina” w przekładzie polskim p. prof. Cz. Michurskiego, przygotowywane przez Koło Filologii Klasycznej uczniów naszego gimnazjum ku uczczeniu 2000 rocznicy urodzin cesarza Augusta, odbędzie się w sobotę dnia 19 lutego b. r. W imieniu K. F. K. zapraszamy na tę inaugurację wszystkie koleżanki i kolegów zaznaczając, że dochód z imprezy przeznaczony jest na urządzenie pracowni filologicznej Koła Fil. Klas.

Ofiara. W związku z powszechną zbiórką na pomoc zimową dla bezrobotnych Komitet Rozdzielczy przy S. U. złożył dnia 19. XII kwotę 25 zł. na „Gwiazdkę dla dzieci bezrobotnych”.

Prenumerata roczna „Głosu Uczniowskiego” (za 5 co najmniej numerów) wynosi zł. 1,50.
Zamiejscowa zł. 2.

Cena ogłoszeń: Cała strona 32 zł., pół strony 16 zł., ćwierć strony 8 zł.

Adres redakcji i administracji: Państwowe Gimnazjum Męskie im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku, Świetlica „Samopomocy Uczniowskiej”.

Opiekun pisma z ramienia Rad Pedagogicznych: **Czesław Pietrasz.**
Redaktor — **Władysław Roleder.**

Wice-Redaktorka — **Z. Broszówna.** Wice-Redaktor — **M. Głuszek.**

Administrator: **K. Broniecki.**

Wydawca: „Rada Naczelna” Państw. Gimn. Żeńsk. im. Anny z Sapiehów Jabłonowskiej, „Samopomoc Uczniowska” Państw. Gimnazjum Męsk. im. kr. Zygmunta Augusta, oraz „Samopomoc Uczniów” Państw. Gimn. im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Białymstoku.



Antyln. DK
H-wca, 6.5.77,
- 60. W,

SPÓŁDZIELCZOŚĆ — TO DRODA DO ZWYCIĘSTWA!

Największa placówka handlowa w n/mieście

spółdzielnia „ZJEDNOCZENIE” rozwija się pomyślnie.

W sklepach towary pierwszorzędnej jakości.

Piekarnia mechaniczna produkuje smaczne pieczywo.

Cukiernia, znacznie powiększona, poleca wyśmienite ciastka, smaczne pączki, torty i t. p.

Przy sklepie centranym dział naczyń bogato zaopatrzoney.

A więc wszyscy do „ZJEDNOCZENIA”!

Zaopatrujcie się Sami, jak również i

własne Spółdzielnie Uczniowskie

w artykuły szkolne w

KSIĘGARNI NAUCZYCIELSKIEJ

w Białymstoku, ul. Kilińskiego Nr 10.

BIAŁOSTOCKIE

TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNOŚCI

SPÓŁKA AKCYJNA

stosuje do gospodarstwa domowego

ulgowe ceny prądu

liczniki rabatowe i taryfy blokowe

GRZEJNIKI, RADIOODBIORNIKI oraz wszelkie

aparaty elektryczne do nabycia na raty

w biurze Elektrowni, Dział Propagandy tel. 49 i 3-91.

60
873225/26775

KOMUNALNA KASA OSZCZĘDNOŚCI

pow. Białostockiego

ul. Br. Pierackiego Nr 1.

ZAŁOŻONA w 1925 ROKU.

Kapitał zakładowy Zł. 100.000.

Kapitał rezerwowy Zł. 55.572.14.

12.135 kont oszczędnościowych

800 skarbonek w obiegu

Wkłady i czekowe rachunki na 31-I-1938 r.

Zł. 2.285.977.59 gr.

Za całość i bezpieczeństwo wkładów
odpowiada Białostocki Związek Komu-
nalny (8 miast i 12 gmin) całym
swoim majątkiem i dochodami.

P o s i a d a :

Rachunek żyrowy w Banku Polskim w Białymstoku.

Rachunek żyrowy w Banku Gosp. Kraj. w Białymstoku.

Rachunek czekowy w Pol. Banku Komun. w Warszawie.

Konto czekowe w P. K. O. Nr 51.164.

Telefony: 700; 4-12.

Skrytka pocztowa Nr 105.